ROCZNIK VI.

TOM II.

NR. 67.

LIPIEC

1910.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

MIESIĘCZNIK

POD REDAKCYĄ

D[RA] FELIKSA KONECZNEGO.

KRAKÓW

REDAKCYA UL. GARNCARSKA 2.

ADMINISTRACYA GROBLE L. 15 (parter).

„Świat Słowiański“

miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, wychodzi z początkiem każdego miesiąca w zeszytach 4—5 arkuszowych. — Prenumerata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi 10 K. (10 marek), kwartalnie 2 K. 50 hal. (2 M 50 f.) Cena jednego zeszytu 1 K. (1 M.). **Adres** redakcyi **Kraków, ulica Garncarska 2.**

Administracya: Groble L. 15 (parter).

Skład główny na Lwów i Galicyę wschodnią w księgarni **H. Altenberga** we Lwowie.

W Warszawie skład główny w księgarni **Wendego i S-ki**. Prenumerata roczna 5 rb. 50 kop.

TREŚĆ Nru 67-go:

(Lipiec 1910). Str.

Świat Słowiański

MIESIĘCZNIK

poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego.

POD REDAKCYĄ

Dra Feliksa Konecznego.

ROCZNIKA VI-go

TOM II-gi.

(Lipiec—Grudzień 1910).

KRAKÓW 1910.
CZCIONKAMI DRUKARNI W. KORNECKIEGO I K. WOJNARA
pod zarządem Adolfa Nowaka.

Redakcya: Kraków, ul. Podzamcze 14.
Administracya: Kraków, Groble 15.

TREŚĆ tomu II-go

Rocznika VI-go

(Lipiec--Grudzień 1910).

NA UROCZYSTOŚCI GRUNWAŁDZKIE.

Pięciowiekowa rocznica wiekopomnej bitwy przypada na czas największego tryumfu wrogów nad nami. Obróciło się koło Fortuny, a tem przykrzej, że dużo w tem naszej własnej winy. Wiemy o tem, toteż wspominamy przeszłość po to, żeby szukać pouczenia, co w sobie wyplenić, a co pielęgnować, ażeby stać się godnymi sławnych przodków, żeby wzywanie ich pamięci nie było nadaremnem. Nie przez to obchodzimy stare jubileusze narodowe, że sami nie dajemy podstaw do nowych na przyszłość, nie przez chełpliwość z przeszłości, właściwą nieraz nie posiadającym teraźniejszości — lecz dla zamanifestowania, że bierzemy na siebie obowiązki, jakie ta przeszłość nakłada na nas.

Bylibyśmy godnymi pogardy, gdybyśmy pojmowali obchody rocznic historycznych inaczej, niż jako zobowiązanie się do zbudowania Polsce przyszłości godnej jej przeszłości. A zatem i ta rocznica grunwałdzka — a nawet ona najbardziej i przedewszystkiem — musi być nietylko wystawą dziedzictwa, lecz obliczeniem przedsięwzięć na przyszłość, a więc określeniem wobec sumienia historycznego naszych zamysłów, przekonań i dorobku pokolenia współczesnego.

Co dajesz dla przyszłości, że śmiesz obchodzić wspomnienia dziejowe?

To pytanie winien każdy roztrząsnąć u siebie, a natenczas przyszłość ta byłaby bliższą.

Zwycięstwo grunwałdzkie było owocem długich, żmudnych zabiegów polskiej polityki wewnętrznej i zewnętrznej.

Pierwszym sprawcą tryumfu Polski był ten, który nigdy w surmy tryumfalne nie uderzał, król Kazimierz Wielki. Tylko zagospodarowana Polska mogła zmierzyć się z Krzyżakami.

Drugim warunkiem było: mieć sprzymierzeńców. I w zakresie polityki zewnętrznej kładziono pierwsze podwaliny do

przyszłej rozprawy z wrogiem za Kazimierza W., aż doszło się w końcu do unii z Litwą, bez czego nie byłoby Grunwałdu.

Równocześnie więc czyniono przez całe pokolenie starania systematyczne, wzajemnie z sobą związane, o podniesienie kraju i o pomyślne ułożenie stosunków zewnętrznych, ażeby znaleść pomoc w imię wspólnego interesu.

W tej nauce z przeszłości wskazówka, jak nam dzisiaj należy postępować, chcąc pracować dla przyszłości. Na nic nasze tęsknoty i zapały, póki Polska nie będzie ekonomicznie silną i dopóki nie wywołamy pomyślnego dla siebie położenia politycznego. A zatem należy nam łączyć się z tymi, którzy mogą mieć wspólny z nami interes, a to znaczy: pielęgnować ideę słowiańską.

Nie zważajmy na to, jak inni ją wypaczają, lecz sami nadawajmy jej kształt właściwy. Nasz kierunek będzie górą, jeżeli nie zaśpimy sprawy, jeżeli włożymy w nią odpowiednią miarę pracy, trudu i zapobiegliwości.

Nie spodziewajmy się, że zrobi za nas kto inny, stanie na czele Słowiańszczyzny i uczyni z niej tarczę obronną dla polskich interesów! To my sobie sami zrobić musimy — albo całkiem zrobione nie będzie.

Trzeba Słowiańszczyznę przekuć na siłę z nami sprzymierzoną, dając wzajemnie idei słowiańskiej oparcie na polskiej kulturze i polskiej polityce. Oto zadanie najbliższej doby!

Nawrót do samej istoty Polski historycznej! Nie była ona państwem jednego narodu, polskiem tylko, lecz słowiańskiem. Tylko w czasach dzielnic książęcych była Polska wyłącznie polską, ale też bez mocy politycznej. Bo siła polityczna narodowa rozwija się natenczas tylko, gdy dąży do znaczenia w kombinacyach postronnych. Gdzie ustaje promieniowanie w dal, tam następuje obumieranie sił i w końcu nicość polityczna.

Państwo Bolesławów ogarniało swą polityką Czechów, Słowaków, Rusinów, a potem od Kazimierza W. poczynając, była Polska zawsze państwem wielojęzycznem, aż do czasów Władysława IV. rozszerzającem wciąż swe zabiegi polityczne jeszcze dalej, na zachodnią, wschodnią i południową Słowiańszczyznę. Żywym udziałem w sprawach ludów ościennych stała i utrzymywała się potęga polska; upadła — gdy polityka polska przestała brać udział w sprawach tyczących się pobratymców.

PRZED ZJAZDEM SOFIJSKIM.

(List otwarty do prof. M. Zdziechowskiego).

Szanowny i kochany Panie Maryanie!

W imię [1]) dobra publicznego wzywa mnie Pan, żeby zabrać głos w sprawie zjazdu słowiańskiego w Sofii. Nie potrzebował Pan używać tego świętego zaklęcia. Uczynię to bardzo chętnie dla zaspokojenia własnej potrzeby wewnętrznej. Sprawa neoslawizmu, a raczej obrót, jaki ona u nas wzięła, trapi mnie wciąż, a czasami boli dotkliwie. Pragnę bardzo wypowiedzieć się szczerze i całkowicie, a nie chcę wznawiać polemiki i puszczać jej na pytel prasy warszawskiej — i tak już plew za dużo.

Wskutek powszechnego przepolitykowania nikt niemal nie potrafił zrozumieć u nas idei solidarności słowiańskiej i ująć jej inaczej, jak w rodzaju pospolitego manewru politycznego. Może się uda! Może się zdoła coś zeń wyciągnąć!

Dziś niema na to rady. Dziś może być w gazetach jedynie kłótnia jałowa, szkodliwa.

Świat Słowiański wydaje mi się jedynem pismem odpowiedniem w tej chwili do otwartego wypowiedzenia przekonań. Dlatego żądanie Pańskie bardzo odpowiada moim pragnieniom — dziękuję serdecznie.

Artykułowi memu nadaję charakter listu, bo taka forma najbardziej odpowiada moim intencyom. Nie chcę wszczynać sporu, nie chcę przekonywać, propagować, pragnę tylko dać wyraz przeświadczeniom, które mi w tej chwili napełniają głowę i serce. Chcę złożyć dokumenty przy trumience neoslawizmu, w nadziei, że się może znajdzie kiedyś, że się przypomni w chwili odrodzenia.

* * *

Jestem wciąż głęboko przekonany o potrzebie, nawet o konieczności porozumienia słowiańskiego w celach wspólnej

[1]) Kwestya tej fazy idei słowiańskiej, którą nazwano neoslawizmem, i pozostająca z tem w związku sprawa obesłania zjazdu sofijskiego, obchodzi cały naród polski, ale z natury rzeczy pierwszy głos ma w tej rzeczy zabór rosyjski i jego stanowisko decyduje o stanowisku innych zaborów. Zależało nam więc wielce na tem, żeby w tych sprawach odezwał się w naszem piśmie kto z naszych warszawskich przyjaciół. W ten sposób powstał niniejszy „list otwarty“ p. Ludwika Straszewicza do prezesa krakowskiego „Klubu Słowiańskiego“ prof. M. Zdziechowskiego.

pracy dla zabezpieczenia i rozwoju życia narodowego. Przekonania moje wcale nie są następstwem przyjazdu dr. Kramařa w r. 1908 do Petersburga i narodzin neoslawizmu. Doszedłem do nich o wiele wcześniej. Gdy się w Warszawie tworzyło stronnictwo Polityki Realnej, więc w 1905 roku, podniosłem potrzebę narodową oparcia się o grunt słowiański i podniesienia hasła solidarności słowiańskiej. W kółku mi najbliższem była mowa o tem wiele razy. W początkach maja 1908 roku zamieściłem w *Dzienniku Poznańskim* trzy artykuły p. t.: „Idea słowiańska", w których dowodziłem potrzeby i pożytku wytworzenia w opinii polskiej prądu słowiańskiego. Neoslawizm narodził się w czerwcu tegoż roku. Powitałem więc i popierałem go najgoręcej.

Dziś, według mego rozumienia rzeczy, neoslawizm zginął — przynajmniej w Polsce i przynajmniej na dany moment. Niemniej przeto pozostałem jego gorliwym wyznawcą, równie gorliwym i równie przekonanym, jak przedtem. Bo nie zaszedł fakt żaden, któryby mógł zachwiać przeświadczeniem o użyteczności ruchu słowiańskiego. Nie spotkał nas zawód żaden, żadna szkoda. Przeciwnicy nie zdołali wyszukać argumentu ani jednego, któryby wskazał niebezpieczeństwo, grożące Polsce wskutek istnienia lub tryumfu neoslawizmu. Musieli (niektórzy) uciekać się do wykrętów, do naciągań, nawet do kłamstw, aby go w opinii podkopać i zohydzić — najlepszy to dowód słuszności.

Więc też wierzę niezachwianie, iż prędzej czy później idea wspólności słowiańskiej odrodzić się musi.

Za potrzebą nieustannej pracy nad odrodzeniem i tryumfem tej idei przemawia, w mojem pojęciu, wiele, wiele względów. Przypomnę najważniejsze.

Przedewszystkiem jawna konieczność obrony przed gwałtem niemieckim. Czyż trzeba dowodzić, że walka to trudna, że niebezpieczeństwo olbrzymie? Pomoc, jeśli nawet nie jest nam nieodzowna, to w każdym razie niesłychanie pożądaną. Sprzymierzeńców istotnych, energicznych a wiernych, nie znajdziemy nigdzie poza Słowiańszczyzną. Nikogo innego nie zwiąże z nami najpotężniejszy z węzłów — interes własny. Lekceważenie sojuszników, gdy chodzi o życie, zrażanie siebie i ich pozorami, wymysłami, fikcyami — uważam za ślepotę, za występek przeciwko własnemu narodowi.

Drugi wzgląd, który nas skłonić powinien do pracy nad

tryumfem neoslawizmu, wypływa ze stosunku naszego do Rosyi i do Rosyan. Neoslawizm daje nam jeszcze jeden nieodparty argument w walce o prawa nasze. Kto zna opinię rosyjską, wie, że argument ten w wielu wypadkach jest od innych silniejszy. Zasady neoslawizmu przeczą i muszą przeczyć jak najdobitniej prześladowaniu Polaków w Rosyi. Tryumf neoslawizmu wywierałby pewien nacisk, zmuszałby niejako do zaprzestania prześladowań. Byłby siłą rzeczy naszym sojusznikiem; a skuteczność tej pomocy stoi w stosunku prostym do potęgi, nabytej przez neoslawizm.

Idea solidarności słowiańskiej jest bodaj jedyną ideą (prócz naturalnie kosmopolitycznego socyalizmu), która może być wspólną pomiędzy Polakami a pewną częścią Rosyan, która ich i nas zjednoczyć może do wspólnej pracy dla wspólnego celu. Wobec konieczności szukania warunków życia i rozwoju w państwie rosyjskiem dla najliczniejszego odłamu narodu polskiego — jestto wzgląd niezmiernej doniosłości.

Niemniej ważnym jest też wzgląd trzeci. Jedynie urzeczywistnienie wspólności słowiańskiej pozwoli — w niej i przez nią — pracować oraz występować stale i jawnie wszystkim trzem dzielnicom naszej Ojczyzny jako całości, jako jednemu narodowi. A o to powinno nam chodzić bardzo. To dziś już potrzeba pilna, paląca! Pomimo jednej wciąż literatury, pomimo jednej historyi i niegasnącego nigdzie poczucia jedności narodowej, odmienne warunki życia muszą nas nieco oddalać, a może i nieco przerabiać według odrębnej modły. Musimy temu przeciwdziałać. A nic nie nadaje się do tego bardziej,' jak akcya dla wytworzenia solidarności słowiańskiej. Sprawa praktyczna, ważna, poważna — z konieczności powoła ona całą Polskę do wspólnego czynu, a następnie do solidarnej pracy, zbliżającej, jednoczącej. Może nawet do wspólnej kulturalnej, narodowej walki z obcymi żywiołami.

Bieg wypadków w ciągu ostatnich lat paru nie osłabił żadnego z tych względów, nie usunął żadnej z tych wielkich potrzeb narodowych. Więc zasadniczy nasz stosunek do idei słowiańskiej nie powinien uledz zmianie.

Naturalnie wszelka rachuba ludzka może okazać się zawodną, neoslawizm może nie ziścić żadnej z naszych nadziei. Ale nawet i w takim wypadku dopatrzeć niepodobna, jakaby stąd wyniknąć mogła szkoda dla Polski, jakie jej grozi niebezpieczeń-

stwo ze strony idei słowiańskiej. To nie żaden hazard polityczny, nie żadne ryzyko. Nie wymaga od nas wcale ofiar, ani zrzeczeń jakichś; nie żąda nieprodukcyjnego nakładu sił, ani dorobku. Jeśli coś zrobimy, to zostanie zawsze jako użyteczny, kulturalny nabytek. Żadnych złych następstw wyobrazić sobie niepodobna.

Niektórzy przeciwnicy neoslawizmu twierdzą, iż uczucia narodowe polskie stępić się mogą i osłabnąć na rzecz miłości ogólno-słowiańskiej, lub tylko wskutek wymogów solidarności słowiańskiej. Obawa ta wydaje mi się jawnie nieuzasadnioną. Skądże! Do współdziałania prądowi wspólności słowiańskiej skłonić nas może jedynie patryotyzm, nadzieja osiągnięcia pożytku dla Polski. Oczywiście! Cóżby innego? Patryotyzm narodowy jest tu i punktem wyjścia i celem. Zeń wszystko wypływa i w nim się wszystko zamyka. Tak samo dzieje się z pewnością u Czechów i u Bułgarów i u Rosyan. Czy może osłabić uczucia narodowe praca, pod ich wpływem podjęta? W jaki sposób czyn patryotyczny podkopać zdoła patryotyzm?

Byłoby naiwnością spodziewać się lub rachować, że tryumf wielkiej idei dokona się sam przez się, natychmiast, bez żadnego udziału naszego, bez wysiłku. Że dobrodziejstwa spadną na naród dlatego tylko, że kilku czy kilkudziesięciu Polaków nazwie się neosłowianami! Złudzeń takich nie miałem ani przez jedną chwilę.

Na dobrodziejstwa trzeba zapracować.

Natychmiast po zjeździe praskim podniosłem tę niezawodną prawdę w *Kuryerze Polskim* i w *Słowie* (2 sierpnia 1908 roku), jak mogłem najsilniej i najdobitniej. Dowodziłem, iż polityka słowiańska powinna być pracą uczciwą, usilną, wytrwałą; a gdyby stała się manewrem politycznym, nowym hazardem, to niechybnie przynieść musi gorzkie owoce, nietylko zawody, ale i kompromitacyę. Jeżeli spodziewamy się z zewnątrz jakichś nadzwyczajnych dobrodziejstw natychmiast — dziś, jutro — to lepiej nic nie zaczynać.

Rzeczą było niewątpliwą, że ruch neosłowiański trafi, szczególniej w Rosyi, na przeszkody wysokie, głębokie, szerokie; że powodzenie i korzyści leżą dopiero po drugiej ich stronie, że tu bez wytrwania nie osięgnie się nic — tak samo, jak w każdem innem przedsięwzięciu.

Należało mieć pewność zupełną, iż rząd rosyjski zrobi

wszystko, aby ludziom neoslawizm zbrzydzić, a przez to ideę zgnębić. Pisaliśmy o tem wówczas, wykazywaliśmy, że tak być musi. Bo naprzód tryumf neoslawizmu przeszkadzałby rządowi w jego nacyonalistycznych i reakcyjnych dążeniach, a powtóre żaden rząd, a przedewszystkiem rosyjski, nie lubi, gdy w kraju rośnie i chce panować wielka idea, jakakolwiek, z którąby musiał się liczyć, któraby go krępowała.

Cudzoziemcy — zarówno wrogowie jak przyjaciele — twierdzili nieraz, że zdolny naród polski odznacza się wybitnym brakiem zdolności politycznych, że często, zbyt często grzeszy, szkodzi sobie, i kompromituje siebie zanikiem jak gdyby zmysłu politycznego. Świeżo zwróciło na to uwagę najżyczliwsze nam bodaj ze wszystkich pism zagranicznych *Kölnische Volkszeitung*. Niestety — byłoby bardzo trudno dowieść, że cudzoziemcy się mylą! Przynajmniej w Warszawie. Wielkim dowodem tego nieszczęścia jest długi nieprzerwany szereg niepowodzeń i coraz głębszy upadek polityczny. Dzieje neoslawizmu dostarczają dowodów drobniejszych, ale bardzo jaskrawych i bardzo... smutnych.

Jeden z najwybitniejszych przywódców ideowych polityki galicyjskiej pisał w 1867 roku:

„Wielkim to było błędem Polski i przed rozbiorem i po nim, że nie dbała o swoje związki pokrewieństwa z innymi Słowianami; o ile można, należałoby dzisiaj ten błąd choć późno naprawić, i o ile nie możemy ich obronić, to przynajmniej nie umywajmy rąk od ich sprawy. Kto wie, co nam najbliższa godzina przyniesie i czy ich przyjaźń nie będzie dla nas kiedyś w złych czasach wielkim warunkiem siły i j e d y n ą może nadzieją... To nie romans, ale interes, to lokacya kapitału na zysk odległy wprawdzie, ale j e d y n y, jaki w pewnych okolicznościach mieć możemy“.

Ustępy podobne znaleśćby się dało u wielu pisarzów głębszego, przenikliwszego umysłu. I to jest proste, oczywiste. Największe potencye świata szukają sojuszników. Jakim sposobem słabi mogą wszystko i wszystkich lekceważyć, nie dbać o żadne oparcie, nie starać się o przyjaciół — tam gdzie ich znaleść można, tam gdzie wskazywało i zalecało szukać ich tylu mentorów narodu? A już conajmniej nie było nic dziwnego i nie mogło być nic zdrożnego w tem, że się znaleźli ludzie, co pragnęli wejść na tę drogę i nawiązać dobre stosunki z pokrewnymi ludami.

Neoslawizm, zdawało się, jest tem „naprawieniem błędu“ dziejowego, jest objawem rozsądku politycznego. Wykazywałem wyżej, iż nawet przy najgorszym obrocie rzeczy nie groził Polsce niebezpieczeństwem żadnem. Nie powinien być, nie mógł być i nie był wcale hazardem.

Pomimo to, rozumiem bardzo dobrze nietylko wątpliwości, ale całkiem odmienny punkt widzenia, opozycyę i krytykę. Uznaję nawet potrzebę i pożytek polemiki rzeczowej. Bo uważam udział w ruchu słowiańskim za sprawę dla narodu ważną — narady więc przyczynić się mogą do uniknięcia błędów.

Ale tu zaszedł objaw dziwny i niespodziewany. Przeciwko neoslawizmowi wybuchnęła namiętność! Ujawniono jakąś zapamiętałą zajadłość! Usiłowano zohydzić ideę, usiłowano skompromitować i ośmieszyć jej rzeczników. Dużą rolę w tem politycznem zagadnieniu odegrały pisma humorystyczne. A wiadomo, że w Warszawie w najważniejszych nieraz sprawach dowcip, koncept, decyduje. Wymyślano Bóg wie jakie cudactwa.

Uniesienie bardzo piękny pożytek przynieść może, gdy chodzi o działalność dodatnią. Tu zaś była czysta negacya. Usiłowano jedynie zburzyć to, co neoslawiści mogliby zbudować. Wątpię bardzo, aby podejrzywano kogokolwiek o złą wolę. Nie było do tego najmniejszej podstawy, ani nawet pozoru. Do neoslawizmu przystąpili w Warszawie ludzie wszelkich przekonań, którzy poza tem nic wspólnego ze sobą w polityce nie mieli. Zachodziła więc między neosłowianami i antineosłowianami jedynie różnica w pojęciach, w przewidywaniach.

Nie było wymiany argumentów, nie chodziło o wyjaśnienie, dyskusyę. Wybuchały jedynie usiłowania pod hasłem: nie damy, nie pozwolimy! Odbywała się nagonka na ideę i na ludzi. Metody podobnej nazwać niepodobna ani godziwą, ani polityczną, bo ona uniemożliwia w s z e l k ą dążność, w s z e l k i czyn, w s z e l k ą pracę. Żaden pomysł polityczny, ani idea żadna nie mogą zyskać jednomyślności; gdyby przeciwnikom wolno było chwytać się środków podobnych, wszystko szłoby na marne, w gruzy, usiłowanie każde kończyłoby się niepowodzeniem. U nas tak łatwo wzbudzić u ogółu podejrzenie i obawy; każdy szkodnik to potrafi.

Dobrze także byłoby pamiętać, iż człowiek jest omylny; nigdy nie może być pewnym, czy głębokie i najgłębsze przeświadczenie jego nie wypływa z omyłki i nie stanowi błędu.

Wzgląd ten powinien hamować zapamiętałość w duszy obywatelskiej wśród walki partyjnej. Więc wolno oponować, krytykować, przekonywać, ale nie godzi się zapalczywie przeszkadzać pracy innych. Iluż to ludzi z najgłębszą wiarą w słuszność swoich mniemań kaleczyło i zabijało prawdę, krzywdziło kraj i naród. U nas, niestety, zdarzało się to częściej, niż gdzieindziej. Świadkiem i dowodem cały niemal wiek XIX, a i w XVIII tego nie brakowało. Gdzie niema przytomności moralnej, tam jako następstwo koniecznie wystąpić musi zanik zmysłu politycznego.

Wielką rolę w dziejach neoslawizmu polskiego odegrała osoba p. Dmowskiego. Boję się nawet bardzo, iż w niektórych wypadkach tkwił tutaj wzgląd decydujący. Gdy p. Dmowski oświadczył się w Petersburgu, głośno i otwarcie, za neoslawizmem, miał już w Warszawie wielu nieprzejednanych wrogów. Jakże nie skorzystać ze sposobności i nie spróbować podstawić przeciwnikowi nogi! Neoslawizm nadawał się bardzo z niektórych przyczyn na oręż do podobnego celu.

Nie jestem ani politycznym, ani osobistym przyjacielem p. Dmowskiego. Nieraz nie umiałbym powiedzieć, czy stoję bliżej lub dalej p. Dmowskiego, czy jego przeciwników. Więc patrzę na tę sprawę spokojnie i, o ile można, bezstronnie. A zdaje mi się — obym się mylił — że powtarza się tu stara historya, że broi zadawniona, nieszczęsna wada Polaków. Dmowskiemu nie mogą darować niektórzy przedewszystkiem osobistego powodzenia. Wybił się — więc go poniżyć. Na usprawiedliwienie tej akcyi podaje się różne przyczyny: Dmowski jest taki, jest owaki. Ale to oczywiście nie decyduje, nie uzasadnia praktykowanego postępowania. Każdy, choćby najpiękniejszy człowiek, ma na ciele brodawki, a w duszy słabości, każdy przeciwnik znajdzie zawsze powody i podstawy do oskarżania przeciwnika lub rywala. Gdyby to dyskwalifikowało ludzi — narody nie miałyby nigdy przywódców. Powodzenie Dmowskiego w Petersburgu lub w neoslawizmie byłoby powodzeniem kraju. Więc rozum polityczny i zmysł polityczny nakazywały podtrzymywać go i cieszyć się z sukcesów. Zamiast tego przeszkadzano mu, a może... i cieszono się z klęski. Bez poczucia solidarności narodowej — niema powodzenia. Tu brakowało nietylko zmysłu politycznego!

Naturalnie nie u wszystkich przeciwników neoslawizmu i nie u wszystkich nieprzyjaciół p. Dmowskiego te czynniki decydowały. Jestem bardzo daleki od podobnego twierdzenia.

Faktem znamiennym jest, że p. Dmowski posiadał popularność niemal powszechną, dopóki prowadził robotę negacyjną; gdy z konieczności rzeczy, gdy ze względów potrzeby narodowej przeszedł do pracy pozytywnej, stał się natychmiast przedmiotem nietylko ostrej, bezwzględnej krytyki, ale osobistej napaści.

Ofiarą padł neosławizm — była to jedna z przyczyn.

Nie sądzę, aby Polacy z natury pozbawieni byli uzdolnień politycznych. Ile to czasów nazywano Niemców „narodem filozofów", co oznaczać miało, iż nie posiadają zmysłu praktycznego. I tak było rzeczywiście. A dziś Niemcy przodują i w handlu, i w przemyśle i w polityce.

Nasza nieudolność polityczna jest następstwem przyczyn historycznych (trzy wieki anarchii), oraz rezultatem panowania pojęć bałamutnych i złych nałogów. Więc wyleczyć się z niej pewnie można. Według mego przeświadczenia, ratunkiem (w Królestwie) byłoby zupełne zaniechanie politykowania i oddanie się na czas jakiś wyłącznie pracy społecznej — ona jedna przywróci zdrowie, odbuduje siły. Ale naturalnie, naród z naszą przeszłością i z naszym temperamentem, wyrzec się politykowania nie zdoła, a bodaj i nie może.

A ze wszystkich rodzajów polityki w danych warunkach neosławizm jest najodpowiedniejszy i najzdrowszy. Zaspokoić może ambicye, a nie odciągnie od pracy wewnętrznej, nie sprowadzi na manowce. Da wytyczną i podstawę w wielu ważnych zagadnieniach. Dwóch mamy wielkich, wiekowych wrogów, którzy nas wycieńczali i znieprawiali przez całe lat sto: konspiracyę i z natury, z konieczności zawsze naiwne kombinacye polityki zagranicznej. Mieliśmy dużo czasu i dużo sposobności, aby przekonać się, jak jałowe, jak szkodliwe są obie te koncepcye polityczne. Ale zastarzałe choroby i nałogi zawsze nie łatwo wykorzenić. Neosławizm wyklucza i jedną i drugą formę politykowania. Mógłby więc bardzo nam pomódz do wyleczenia i odzyskania sił.

To jeszcze jeden argument za pożytecznością dla nas idei słowiańskiej solidarności.

* * *

Przechodzę wreszcie do zjazdu w Sofii.

Zdaje się dziś nie ulegać wątpliwości, że pomimo to wszystko, com wyżej powiedział, jechać nań nie możemy.

Nie ze względów zasadniczych — oczywiście. Pomimo nich. Wbrew nim. Tak się fatalnie złożyły okoliczności.

Przedewszystkiem udział w zjeździe sofijskim wywołałby przy danych warunkach wielką, nową waśń wewnętrzną, nowe fermenty, nowe nienawiści i coraz gorsze, coraz szkodliwsze bałamuctwa w pojęciach o idei słowiańskiej. Nie można być pewnym, czy pożytek udziału w zjezdzie równoważyłby szkody.

Zachodzą przytem względy praktyczne. Nie jestem politykiem czynnym, nie mam w tym kierunku ani ambicyi ani widoków, więc obawa narażenia się na wymysły i szykany, na krzywdzące podejrzenia i sądy, powstrzymaćby od wyjazdu do Sofii mnie nie mogła. Wiem zresztą z bogatego doświadczenia, własnego i przyjaciół, że niedorzeczne krzyki polityczne, chociażby pozornie skuteczne, straszne wcale nie są i szczęścia ludzkiego nie kłócą.

W innem jednak położeniu jest Demokracya Narodowa. Jako działacze praktyczni muszą zapewne liczyć się nawet z błędami opinii publicznej i bez ostatecznej konieczności nie rozdrażniać jej przeciwko sobie. Nie sądzę więc, aby w danej sprawie zechciała narażać swój wpływ i stanowisko na niebezpieczeństwo. Pewnie nawet nie może tego zrobić.

Wielkim wrogiem neoslawizmu w Polsce są jego rosyjscy przedstawiciele. Znajdują się wśród nich — wiemy wszyscy — ludzie bardzo zacni: L w o w, M a k ł a k o w, C h o m i a k o w, A. S t a c h o w i c z i inni. Ale iluż niegodziwców z F i l e w i c z e m na czele! B o b r i n s k i e g o takbym nie nazwał, ale jest on od innych szkodliwszy. Namiętny, jednostronny, umysłowo nie wyrobiony, a ulegający najgorszym wpływom. Dziś to nasz wróg nieprzejednany.

Z tymi ludźmi nie możemy mieć idei wspólnej, więc nie możemy też należeć do wspólnej pracy.

Poco wtargnęli oni do neoslawizmu — zgadnąć trudno. Bo zasady neoslawizmu stoją w rażącem przeciwieństwie z ich pojęciami. Dążenia neoslawizmu przeczą ich dążeniom, stają na drodze ich widokom i apetytom. Może chcą wodę mącić. Może chcą ideę słuszną znieprawić, żeby im nie przeszkadzała, żeby zginęła. A gdy się nie rozumie gry ludzi tego gatunku, a usunąć ich niepodobna — trzeba unikać.

Według mego widzenia rzeczy pośrednimi, ale głównymi winowajcami zaśmiecenia neoslawizmu rosyjskiego są kadeci. Może też jakaś część odpowiedzalności spada i na p. K r a m a ř a.

Sami kadeci przyznają, że idea neosłowiańska jest ich ideą. Natura rzeczy, charakter neoslawizmu, jego przeznaczenie, zapewnićby im musiały przewagę. Oni powinni byli i mogli byli stać się gospodarzami w neoslawizmie rosyjskim. Dali się uprzedzić, pozwolili wtargnąć gadzinom. A potem ustąpili im miejsca bez walki, którąby wygrali niewątpliwie. Woleli zrzec się neoslawizmu, niż się pokalać dotknięciem Filewicza, Werguna, Komarowa. Jestto może bardzo szlachetny odruch, ale w ten sposób można się dać wyprzeć zewsząd, bo gadziny wszędzie trafią i wszędzie się wślizgną.

Uważam to za ciężki błąd: rozwój i tryumf neoslawizmu w Rosyi byłby im niezawodnie pomocą, wodą na ich młyn. Siebie osłabili, nam pozycyę utrudnili bardzo, bodaj nawet uniemożliwili, a i neoslawizmowi zadali cios może śmiertelny.

Szczerze życzę powodzenia kadetom, wstręt ich do Filewicza jest mi bardzo sympatyczny, niemniej przeto muszę wyznać, że skutki poprzestawania w praktyce na pogardzie dla wrogów są bardzo niepożądane.

Bardzo wysoko cenię polityczne uzdolnienie i wyrobienie p. Kramaŕa; widziałem szczerą jego życzliwość dla nas. Ale sądzę, że on tu w jakimś stopniu pobłądził. Chciał — i pewnie bardzo słusznie — aby ze strony rosyjskiej do neoslawizmu weszły mniej więcej wszystkie partye polityczne i wyraźnie chodziło mu o obecność żywiołów z prawicy. Może miał nadzieję wywrzeć przez nie jakiś wpływ na rząd. Może bał się nieco pierwiastków radykalizmu rosyjskiego. Może zresztą zanadto polegał na politycznem wyrobieniu młodego stronnictwa kadetów. W rezultacie jego stanowisko osłabiło — zdaje mi się — w neoslawizmie rosyjskim wpływ żywiołów postępowych, zdolnych do współżycia i współpracy z innymi, a wzmocniło reakcyę, ułatwiło dostęp różnym panom, którzy nie nadają się do neoslawizmu i muszą go doprowadzić do rozbicia. Nie przewidział, że między wstecznym, zaborczym, pełnym nienawiści nacyonalizmem rosyjskim, a Polakami, musi dojść do alternatywy: my albo wy? Bez Polaków zaś, a z wrogami Polski ze strony rosyjskiej — neoslawizm jest nietylko nie do utrzymania, ale nawet nie do pomyślenia.

Nie koniec na tem. W razie obecności i wpływu w neoslawizmie rosyjskim Filewiczów, Wergunów, Bobrinskich,

brakować będzie w ruchu słowiańskim nietylko Polaków. Jeszcze bardziej zamykają oni wstęp innemu narodowi.

Postanowili oni własną wolą, że Rusini nie mają ani potrzeby ani prawa uważać się za to, czem sami się czują, czem sami chcą być. Dążenia narodowe Rusinów ogłaszają za głupstwo i za występek. Nie wolno — i dosyć! Jakże to może zmieścić się w neoslawizmie, którego podstawową zasadą wolność, równość? którego celem — usuwanie przymusu w stosunkach narodowych, tępienie gwałtu? A Wergun i Bobrinskij nietylko sami wojują z narodowemi pragnieniami Rusinów, ale tępienie ukraińsiwa uważają za obowiązek Polaków w Galicyi. Stawiają to jako warunek dobrych stosunków polsko-rosyjskich w państwie rosyjskiem.

Uważamy sobie za obowiązek protestować, jeżeli Rusinów spotka krzywda ze strony Polaków. Sam to robiłem nieraz. Jakże więc możemy stawać do walki o prawa i rozwój narodów słowiańskich w jednym szeregu z ludźmi, dla których deptanie woli całego narodu słowiańskiego jest naczelnem hasłem?!

Ani możemy tego zrobić, ani nam wolno dopuścić się czegoś podobnego.

Rusini mają święte prawo zostać, czem sami zechcą, i ta ich wola musi być uszanowana. W neoslawizmie inne postawienie kwestyi stałoby się potwornością.

Jadąc do Pragi, nie mogliśmy jeszcze o tem wszystkiem wiedzieć; dziś się stosunki uwidoczniły aż nadto jaskrawo.

Dla jasności myśli dodać muszę, że rozpasanie się reakcyi rosyjskiej w państwie, że dalsze krzywdzące Polaków stanowisko rządu rosyjskiego na stosunek nasz do neoslawizmu wpływać nie może, a przynajmniej nie powinno. Bo właśnie neoslawizm miał za jeden z celów politykę gwałtu osłabić i usunąć. Nas z neoslawizmu wypiera to, że doń wtargnęły rosyjskie żywioły wsteczne i ślepo nacyonalistyczne, neoslawizmowi z treści swojej wrogie. Wobec tego branie udziału w zjazdach i wogóle w ruchu traci cel — niknie nadzieja i podnieta.

Fatalnym był pomysł wybrania Sofii za miejsce drugiego zjazdu. Postawiło to Polaków w położeniu trudnem, drażliwem, nieprzyjemnem, a neoslawizmowi zadać może cios dotkliwy.

Pomijam nawet sprawę stosunków austryacko-bałkańskich, chociaż i one odegrać muszą dużą rolę i powikłać niejedno.

Z intencyą czy bez intencyi, zjazd neosłowiański w Sofii

będzie musiał połączyć się lub tylko spotkać z aktem wdzięczności Bułgarów dla Rosyi za wywalczoną niepodległość.

Zjazd w Sofii postanowiono w roku zeszłym w Petersburgu na zebraniu komitetu wykonawczego, wybranego w Pradze. Z Polaków był tam tylko Dmowski. Jest on ostrożny i przewidujący. Na razie jednak trudno było objąć całą sytuacyę i przewidzieć wszelkie możliwości.

Stosunek Bułgaryi do Rosyi jest zupełnie szczególny i wyjątkowy. Jużciż Bułgarzy są obowiązani do wdzięczności... za wolność. Przyjazd Rosyan do Sofii musi wywołać przyjęcie nadzwyczajne, owacye. W pierwotnym planie zjazdu była mowa o wycieczce do Plewny. Tak nam mówiono w lutym w Petersburgu.

Jaka wobec tego byłaby rola Polaków?

Ówczesne państwo rosyjskie, które w krwawej walce zdobyło niepodległość Bułgaryi, z największem okrucieństwem złamało, zgniotło drgnienie Polski do wolności. I mściło się za to drgnięcie straszliwie. Mści się do dziś dnia. Armia rosyjska, która całkiem słusznie będzie przedmiotem szczególnych uniesień miłosnych w Sofii, kilkanaście lat przed wypędzeniem Turków z Bułgaryi pławiła się we krwi polskiej. Stanął las szubienic, zapełniła się męką polską katorga. Bohaterowie rosyjscy w Bułgaryi byli przedtem i potem katami Polski.

Trzeba się postawić w naszem położeniu. Czyż podobna, ażebyśmy brali udział, choćby jako bierni widzowie, w składaniu hołdu wdzięczności słowiańskiej państwu, które nam wówczas niosło zagładę i dziś te same hasła głosi? Jakie uczucia wzniecićby to musiało w naszych sercach, jakie myśli w głowach? Męczarnia nasza wytworzyłaby trudną sytuacyę dla gospodarzy, dla Bułgarów. Przeszkadzalibyśmy i krępowali. A i dla sumienia rosyjskiego obecność Polaków w Sofii nie byłaby chyba przyjemną.

Nie mamy ani prawa, ani chęci zakłócenia Bułgarom uroczystości pamiątkowej odzyskania niepodległości. Życzymy im jak najlepiej, cieszymy się szczerze z ich wolności i rozwoju. Ale nikt nie ma prawa żądać od nas udziału osobistego; nie wolno nawet nas do tego namawiać. To przekroczyło granicę polityki, a stało się sprawą uczuć i godności narodowej. Nie możemy!

Tego święta nie należało łączyć ze zjazdem neosłowiańskim. Dziwne to, iż sprawy tak oczywistej nie może, czy nie chce zrozumieć mądry dr. Kramař!

Zdaje się, że zjazd w Sofii i nasza na nim nieobecność — to koniec neoslawizmu, przynajmniej u nas.

Tryumf odnoszą przeciwnicy. Tryumf ten obałamuci i steroryzuje opinię na długo. Wątpić wolno, czy Demokracya Narodowa zechce w tej sprawie iść wbrew opinii, tem bardziej iż wewnątrz tego stronnictwa jedności tu nie było i niema. Zaś realiści i kilku postępowców neosłowian, wiele na razie zdziałać nie potrafią.

Dalej: słusznych powodów nieobecności naszej w Sofii nie zrozumieją pewnie ani Bułgarzy, ani Czesi, ani może nikt. Wytłomaczą ją sobie opacznie, na naszą niekorzyść. Zaczną się nieporozumienia i pretensye. Już padły słowa przykre z ust Bułgarów, a nawet i Czechów.

Młody neoslawizm tego wszystkiego nie przetrzyma. Co robić? Tyle razy już w Polsce patrzano na gaśnięcie idei, które nam mogły przynieść ulgę i może ratunek! Głos rozsądku nas drażni. Taka natura. A i przypadek lubi być przeciwko nam.

Przypadek! Czy on istnieje? Dziejami ludów rządzą przyczyny naturalne, konieczność. I dlatego się wydaje, że przypadek zwraca się zawsze przeciwko słabym, lub lekkomyślnym.

Nie dojrzały i nie dorosły jeszcze stosunki do neoslawizmu i dlatego się nie udał. I Rosya nie dojrzała. K r a m a ř się łudził; tam jeszcze obywatel nie zwyciężył samowoli i bezprawia brutalnej siły.

To wszystko nietylko nie zdejmuje ciężkiego obowiązku dalszej pracy z tych, którzy w urzeczywistnieniu idei słowiańskiej widzą potrzebę narodową. Schodzić z pola nie wolno. Przeciwnie, wysiłki podwoić należy. Bez wytrwałości w ciężkiej godzinie nic na świecie udać się nie może. Wielkie idee nie urzeczywistniają się nigdy za jednym zamachem. A i zamach nasz był bardzo słaby.

W krótkiem życiu swojem widziałem tryumfy myśli, którą przedtem deptano w zapamiętaniu. Historya takich wypadków zna mnóstwo. To nawet zwykła, konieczna kolej rzeczy.

Płodną też i doniosłą pracę spełnia *Świat Słowiański.* I ona nie przepadnie w żadnym wypadku. List ten kończę życzeniem Wam jak największego powodzenia, będzie ono dobrem świadectwem dla kraju i jego opinii.

Wytrwajmy, czcigodny Profesorze!

Ludwik Straszewicz.

W początkach czerwca 1910 roku.

POLSKA A KWESTYA LITEWSKA.

Na uroczystościach grunwaldzkich będą przedstawiciele narodów pobratymczych; wszyscy nader pożądani, lecz najbardziej pożądanymi — Litwini.

Zdanie to, objawiane wobec rozmaitych osób, nie doznało nigdy zaprzeczenia, lecz wywoływało rozmaite uwagi:

— Niewątpliwie — powiadali jedni — ale czy przyjadą? A nie można ich zapraszać formalnie [1]), bo się nie zaprasza swoich. Powinni się sami od siebie domyśleć i uważać się nie za gości, których zapraszać trzeba, lecz za gospodarzy jednako z nami, jako jeden z nami naród...

Pięknie powiedziane, ale archaicznie.

Dziś inne czasy. Niegdyś, kiedy narodem była tylko szlachta, istniał rzeczywiście jeden polsko-litewski „naród szlachecki“, wiodący sprawy publiczne, wszystkie a wszystkie wspólne, a niedostępne, niezrozumiałe i całkiem obojętne ludowi, tak polskiemu, jakoteż litewskiemu (Tak rzecz się miała z ludami wszystkich narodów europejskich i u nas nie mogło być inaczej). Ale dzisiaj synom chłopskim życie publiczne stoi otworem na równi z karmazynem, naród składa się ze wszystkich warstw, a rozwija się tym trybem, że szlachcie coraz mniejsze stosunkowo przypada znaczenie. Prąd demokratyczny, zdobywszy Polskę, zajął też związaną z nią tak ściśle Litwę. Chłop litewski nie znał nigdy polskiego języka (boć Polska nie wynaradawiała gwałtem!). Trudno żądać od intelligentnego Litwina, pochodzącego z ludu, żeby się uważał za Polaka, skoro języka polskiego musiał się dopiero uczyć, podobnież, jak każdego innego obcego. Mógłby on nie umieć nawet całkiem po polsku. Nie można nawet wymagać od niego, żeby się miał za „Litwina o kulturze polskiej“, bo nie było tej kultury pod jego rodzinną strzechą. Przechodził natomiast w szkołach przez takie nauczanie, że nie należy się dziwić, jeżeli wyszedł z nich z usposobieniem niechętnem względem narodu i kultury polskiej.

Chętny, czy niechętny, Polakiem nie jest. Ma prawo nie

---

[1]) Komitet przygotowujący uroczystości uchwalił jednakże na posiedzeniu d. 16 czerwca jednomyślnie rozesłać zaproszenia do wszystkich instytucyj i redakcyj litewskich.

być nim, bo jest etnograficznie odrębny; na tej podstawie ma święte i niezaprzeczalne prawo głosić i propagować narodową odrębność Litwinów. Nie będąc Polakiem, ma prawo zajmować wobec Polski stanowisko takie, jakie uzna w swem sumieniu za korzystniejsze dla narodowości litewskiej. Naszą rzeczą jest starać się pozyskać sobie na nowo nową Litwę.

— Jakżeż można — powiadali drudzy — pragnąć obecności Litwinów, skoro oni sami uważają nietylko wszelkie więzy za zerwane, ale patryotyzm ich litewski polegać się zdaje na nienawiści Polski...

Prawda — niektórzy z pośród Litwinów (nie wszyscy!) pragną wykopać jak najgłębszą przepaść między dwoma narodami, bo w naiwności swej mniemają, że rozwój poczucia narodowego litewskiego nie byłby zabezpieczony bez nienawiści względem polszczyzny. Stając na tem stanowisku, przyznają tem samem mimo woli, że jednak więzy pomiędzy Litwą a Polską nie są zerwane, skoro pracują właśnie nad ich zerwaniem. Ci nie przyjechaliby zapewne, ale nie wszyscy są tacy. A kto wie — może też przyjechałby ktoś z takich, żeby „zajrzeć wilkowi w samą paszczę“, dla rewizyi swych poglądów i zapatrywań, celem przedyskutowania sprawy, ażeby się wywiedzieć, co myśli się o kwestyi litewskiej pod Wawelem, wśród strażników grobów Jagiellonów, grobów Mickiewicza i Kościuszki, którzy z Litwy pochodzili?

Wielkie są nasze obowiązki względem Litwy i to obowiązki wdzięczności, od wspólnego zwycięstwa pod Grunwaldem do wspólnego pochodu na Sybir, od początków unii aż do dnia wczorajszego; my zaś jesteśmy dość silni moralnie i dość kulturalni, żeby te obowiązki uznawać. Co się wiekami zbierało, tego jeden dzień nie przekreśla. Ktokolwiek przyjechałby z Litwinów — widząc delegacyę litewską nad grobem Jagiełły wespół z Polakami, szczęśliwym mieniłby się każdy z nas. Żadni goście nie wywołaliby takiego rozrzewnienia, nie poruszyliby tak do głębi naszych serc, jak Litwini. A gdyby chcieli uważać się nie za gości, lecz za gospodarzy, uznalibyśmy w tem najwyższą z ich strony dobrą wolę i powiedzielibyśmy:

Bądźcie wraz z nami gospodarzami na tem wspólnem święcie, pomimo to, że jesteście odrębnym narodem!

Wiem, że tak samo myśli ogół i nie pojmuję, jak się to stało, że myśl ta nie wyraziła się dotychczas publicznie. Zapewne

dlatego, że uważa się ją za coś, co się rozumie samo przez się.

Wśród nas — niewątpliwie. Ale czy rozumie się samo przez się także u Litwinów? Ci, którzy języka polskiego nie w domu rodzicielskim się uczyli, inną mają psychę, inne rozumowanie, boć nie polskie.

Zdaje mi się, że cały błąd naszego względem nowej Litwy postępowania streszcza się w tem, że ją mierzymy polską miarą i stosujemy do niej polskie wyobrażenia — dla niej jeszcze niezrozumiałe. Miejmy otuchę, że z czasem staniemy się sobie wzajemnie zupełnie zrozumiałymi, dziś atoli tak nie jest i należy się dopiero o to starać. Każdy z nas ma obowiązek przyłożyć do tych starań cegiełkę.

Faktem jest, że nowa Litwa nie rozumie Polski współczesnej, gdyż nie zna dawnej; a więc nie zna też dawnej Litwy, bo jedno z drugiem łączy się nierozdzielnie. Cała ich zapalczywość nieprzyjazna względem polskości wypływa konsekwentnie z nieznajomości własnej historyi.

Litwa była aż do r. 1795 państwem niepodległem. Nie polskie, lecz litewskie wojsko stało tam załogami, a dochody publiczne nieszły do polskiego skarbu, lecz do litewskiego. Na utrzymanie państwa własnego płacił Litwin podatki i krew przelewał w obronie niepodległości Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nie panowali Polacy nad Litwą! Litwa rządziła się sama, mając aż do końca własną armię, własny skarb i osobne swoje własne ministerstwa. Rząd Królestwa polskiego nie był bynajmniej rządem dla Litwy! Kanclerz, podskarbi czy hetman koronny — nie mieli na Litwie nic do rozkazywania, bo tam byli osobni litewski hetman, litewski podskarbi, nawet kanclerz litewski. Litwa była więc rządzona tak, jak nią rządzili — Litwini. Jeżeli sprawowano tam kiedy rządy źle, jest to ustęp ujemny z historyi nie polskiej, lecz litewskiej; tak jest, z własnej historyi litewskiej!

Od podsędka powiatowego aż do kanclerza wielkiego — cała hierarchia urzędowa była w ręku litewskim, nie odbierająca z Polski żadnych poleceń, przed nikim w Polsce nieodpowiedzialna, podwładna własnym litewskim ministrom w zakresie służby królewskiej, własnym korporacyom i instytucyom autonomicznym w zakresie ziemskiej.

Wspólnemi były Polsce i Litwie dwa czynniki życia publicznego: król i sejm walny.

Wspólność ta powstała stąd, że litewska dynastya panowała nad Polską. O ile chodzi o ten czynnik, Litwa była górą, a dynastya dawała nieraz uczuć swą litewską przewagę. Do Litwy trzeba było zastosować się po wielekroć, zwłaszcza za Kazimierza Jagiellończyka i Aleksandra. Umowy o wspólny wybór monarchy dochowywano święcie ze strony polskiej, podczas gdy Litwa kilka razy — i za Jagiellonów i potem — monarchę Polsce narzucała, stawiając polskich wyborców wobec czynu dokonanego, jakby utrzymała się na Litwie tradycya, że król ten musi być przedewszystkiem Wielkim Księciem Litewskim.

Bo też ten wspólny monarcha bywał z reguły zależnym bardziej od swych litewskich poddanych, niż od polskich i bardziej ulegał wpływom litewskim. Polska, demokratyczna w XVI w. i Litwę zdemokratyzować próbująca, stawała się przez litewskie i ruskie wpływy sama oligarchiczną w ciągu następnego stulecia. A czyż Korony obywatelami byli główni nasi oligarchowie? Najpotężniejszymi po królu, króla krępującymi i nieraz dyktującymi mu warunki bywali litewscy panowie. Nie zdoła nikt wymienić ani jednego rodu z Korony, któryby miał na Litwie partyzantów i wywarł wpływ na litewskie sprawy; ale nie można sobie wyobrazić najkrótszego podręcznika historyi polskiej bez ustępów o możnowładztwie litewskiem.

Sejm walny był wspólny, polsko-litewski. I on bardziej doznawał wpływów litewskich, niż na Litwę wpływał. Nie dążył nigdy do przeprowadzenia jednostajności administracyjnej w obydwóch państwach. Statut litewski i specyalne niektóre litewskie urzędy, pozostały nietknięte.

Szlachta Wielkiego Księstwa Litewskiego powstała z rodów, które były litewskimi nietylko geograficznie, lecz etnograficznie. To potomkowie dalszych krewniaków dynastyi panującej, kilku dynastyj lokalnych, zmedyatyzowanych przez Gedyminowiców, tudzież rodów wymienionych w akcie unii horodelskiej. Ta najstarsza warstwa szlachty litewskiej rozszerzała się niewiele przez adoptacye herbowe i nobilitacye królewskie (jedno i drugie zdarzało się na Litwie rzadko), ale szeregi jej zdwoiły się przez uznanie szlachectwa bojarów prawosławnych. Nie polska szlachta, lecz ruska dominowała po pewnym czasie w obszernych dzierżawach Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Przypuszczenia o znacznym napływie szlachty polskiej na Litwę redukują się w badaniach historycznych do takiego minimum, że szczupłość tego napływu na etnograficzny teren litewski aż zadziwia. Kolonizacya polska była, ale w Witebszczyźnie, w Smoleńszczyźnie — na pustkowiach powojennych. Na Litwę właściwą szlachcic polski mało się garnął, bo nie znał się na gospodarstwie, jakie tam należało prowadzić (leśnem), a nie mógł w żyć się w stosunki, oparte na surowem przestrzeganiu hierarchii społecznej. Szlachetka mazowiecki przymierał głodem, ale głowę hardo nosił, podczas gdy na Litwie zamożny ziemianin pozwalał się poniewierać możnowładcy. Literatura polska XVI wieku, nawołując Litwinów do unii ściślejszej, za główny argument używa widoku, że przez to podniesie się niezależność społeczna i godność osobista szlachty litewskiej wobec wielmożów Wielkiego Księstwa. Toteż aż do unii lubelskiej szlachcic polski traciłby na przesiedleniu się na Litwę i o żadnym prądzie emigracyjnym w tamte strony niema mowy aż do końca XVI wieku.

Były trzy źródła immigracyi żywiołu etnograficznego polskiego:

a) Wojskowi, bardzo pożądani, umyślnie sprowadzani, o ile na starsze lata nie woleli powrócić do swoich, otrzymywali donacyjkę od Wielkich Książąt, a później od owych „królików“, utrzymujących sobie swe własne, prywatne wojska (w Koronie rzeczy aż do końca nieznane!) Ta immigracya zaczęła się już za Jagiełły i była stosunkowo liczną przez cały wiek XV, zmalała zaś w XVI, a później nie było jej całkiem (skierowała się na Ukrainę). Zrazu była koniecznością państwową dla Litwy, potem już niepotrzebna, a więc ustała. Niewielki jednak tylko procent tego żywiołu osiedlał się na Litwie. Odbywszy swoje i uciuławszy trochę grosza, wracali polscy wojskowi do Korony. Władcy litewscy (nietylko Witołd), chcąc mieć więcej żołnierza na każde zawołanie, musieli sprowadzać Tatarów i zakładali całe osady tatarskie. a nadawali im szlachectwo, nie żądając nawet przyjęcia chrześcijaństwa. Nie byliby tego robili, gdyby byli mieli dostateczną ilość ochotników polskich; byliby woleli zakładać osady wojskowe chrześcijańskie, polskie.

b) Dzierżawcy, przyjmowani chętnie do królewszczyzn i przez litewskich magnatów, jako bieglejsi w gospodarstwie od miejscowych rolników. Było to wydatne źródło immigracyi polskiej, ale dopiero w czasach późniejszych, gdy rozwinęło się już

na Litwie gospodarstwo rolne i to folwarczne, które rozpowszechnia się tam dopiero w XVII wieku. Dzierżaw tych bywały formy najrozmaitsze; z niektórych form powstały z czasem rozrodzone mazurskie zaścianki szlacheckie.

c) Przez ożenki i spadki. Od XVII wieku coraz jest mniej średnio-zamożnych nawet rodów szlacheckich czysto polskich, lub czysto litewskich. Niemal wszyscy miewali w „parenteli“ wzajemnie „koroniarzy“ i „Litwinów“. Tu jednak immigracya równoważy się na obie strony, bo z takim samym stopniem prawdopodobieństwa mógł się stać Litwin dziedzicem w Koronie, jak Koroniarz na Litwie. Nieustanne powinowacenie się zamieniło całą szlachtę litewską i polską w jeden „naród szlachecki“. Ile w którym rodzie krwi polskiej, a ile litewskiej, tego już dzisiaj nie dojdziemy. Gdyby założyć do tego osobną instytucyę naukową, miałaby z tem na sto lat pracy (niepotrzebnej) i ostatecznie przynajmniej w połowie wypadków oświadczyłaby, że kwestya nie da się rozstrzygnąć [1]).

Z trzech więc rodzajów immigracyi polskiej na Litwę pierwszy nie miał znaczenia etnicznego, trzeci zaś był wzajemną sprawą familijną, natury ściśle prywatnej. Można więc mówić o polonizacyi Litwy przez immigracyę Polaków tylko o tyle, o ile oddziałać mógł w ten sposób napływ dzierżawców z Korony. Był on koniecznością ekonomiczną. Bez polskich rolników niesposób było zaprowadzić w litewskich ogromnych latyfundyach gospodarstwa folwarcznego. Nie narzucali się Litwie, lecz sprowadzano ich, starano się o nich, jak przedtem o polskich wojskowych. Żołnierze wracali, skąd przyszli, ale rolnicy zostawali. Wynika to z natury rzeczy. Potomkowie dzierżawców zostawali często właścicielami ziemi (objaw zwykły) — ale nie wszyscy. Większa część pozostawała szlachtą czynszową na wieki, gospodarując w kilkanaście i kilkadziesiąt rodzin na obszarze, mającym pierwotnie służyć jednej rodzinie. Na ogół więc biorąc, nie bar-

---

[1]) Dla sprawiedliwości powiedzmy, że z tego nieustannego krzyżowania strona polska miała grubsze zyski pieniężne. Po większej bowiem części bywało tak, że bogaci Litwini żenili się chętnie i z uboższemi szlachciankami polskiemi, żeby mieć Laszkę za „dozgonnego przyjaciela“, podczas gdy niezamożni Koroniarze wyławiali im bogate posagi. Jest to jedyne pole, na którem Polacy „oszwabili“ trochę Litwę, ale trudno prawować się z Amorem! (O balladzie Mickiewicza: „Trzech Budrysów“ można powiedzieć: si non e vero, e ben trovato).

dzo się ta immigracya dzierżawców bogaciła na Litwie — i składała się po większej części nie ze spekulantów, lecz z twardych pracowników.

Ani żołnierz polski, ani dzierżawca, przybywający na Litwę, nie wypierał Litwina, lecz zajmował posterunek niezajęty, a raczej, mówiąc ściśle, wytwarzał swą pracą nowe na Litwie posterunki, najpierw postępowego żołnierza, potem postępowego gospodarza, twórcy twierdz i folwarków.

Immigracyi gromadnej, zorganizowanej, skierowanej na pewien punkt litewskiej ziemi, nie mamy przez cały czas od końca XIV aż do końca XVIII wieku ani jednego przykładu! Rząd polski tego nie mógł robić, bo nie miał żadnej a żadnej władzy na Litwie; litewski robić tego nie potrzebował, bo do obrobienia litewskich królewszczyzn wystarczało rąk roboczych litewskich i białoruskich [1]. Kiedy w czasach późniejszych (od XVI wieku) chłop polski ruszył się do świata, nie emigrował na Litwę, lecz na Ruś południową. Rząd litewski sprowadzał kilka razy gromadną immigracyę mazurską, ale zawsze tylko na same kresy Rzpltej od moskiewskiej ściany, ani razu na litewskie terytoryum etnograficzne.

Do spraw wewnętrznych litewskich polityka polska nie mieszała się. Było to nawet niewykonalnem przy autonomicznym ustroju obydwóch państw, skoro każde województwo było samorządnem ciałem. Ingerencya rządu, czy to w Koronie, czy na Litwie, była niedopuszczalną na sprawy ziemskie!

Szkolnictwem nie zajmowało się ówczesne państwo; to było pozostawione Kościołowi i inicyatywie społecznej. Dopiero za Stanisława Augusta rząd zajął się wychowaniem publicznem. Komisya Edukacyjna jest najstarszem w Europie ministerstwem oświaty. I było tych komisyj dwie: koronna i litewska — a litewska nie była w niczem zależną od polskiej.

W sprawach zewnętrznych rządziła nie Polska Litwą, lecz przeciwnie: Litwa zawładnęła w z u p e ł n o ś c i polityką zewnętrzną polską, nadawała jej ton i kierunek. Dla Litwy odwracała się uwaga Polski coraz bardziej od zachodu, aż pochłonięta wyłącznie sprawami wschodniemi, przestała całkiem należeć do europejskiego ugrupowania państw, straciła związek polityczny

---

[1]) Tak, zdaje się, zaczęła się ekspanzya żywiołu białoruskiego na niekorzyść litewskiego.

z Europą, straciła głos w polityce międzynarodowej. A te sprawy wschodnie nie były sprawami Korony, lecz Wielkiego Księstwa; stały się polskiemi tylko dlatego, że Polska interesy Litwy przyjęła za swoje, że dochowała skrupulatnie warunków unii. Nie polskich, lecz litewskich granic broniło się od Moskwy. Niepodległość Wielkiego Księstwa Litewskiego ocalono kilkakrotnie w ciągu XV, XVI i XVII wieku, a gdy rozszerzano na wschód granice Rzpltej nad górnym Dnieprem, przybywało kraju nie Królestwu polskiemu, lecz W. Księstwu litewskiemu i tylko do litewskiego skarbu wpływały nowe dochody. Raz tylko północna zdobycz nie stała się wyłączną własnością Litwy: to Inflanty — które należały wspólnie do Litwy i Korony.

W przytoczonych powyżej dziedzinach życia była więc Litwa co najmniej równouprawniona z Polską, mając w niejednem przewagę nad Koroną, wyciskając na Polsce piętno litewskie, nieraz tak silnie, że dziś jeszcze można wskazywać ślady. Mylnem jest mniemanie, jakoby wpływ Polski na Litwę był silniejszy, niż odwrotnie. Wszak Litwa zmieniła nasz stosunek do świata, przeobraziła w znacznej mierze nasz ustrój społeczny, wpłynęła na zasadnicze pojęcia życia publicznego. „Litwa“ — znaczy w tem miejscu: szlachta litewska — boć tylko ta warstwa była politycznie czynną.

A jednak ta szlachta spolonizowała się!

Przypatrzmyż się raz krytycznie tej „polonizacyi“.

Szlachta litewska uważała sprawy państwowe polskie za swoje. Jeżeli to było polonizacyą, w takim razie należy zaraz dodać, że szlachta polska była zlitewszczona na wskróś, odpłacając pod tym względem Litwie co najmniej równą wzajemnością. Kochaliśmy sie nawzajem i bądźmy z tego dumni.

Twierdzi się, że szlachta litewska przyjęła w zupełności obyczaj polski. To pomyłka, powstała stąd, że określaniem tej rzeczy zajmowali się tacy, którzy jej — nie badali. Dużo polskiego obyczaju przeszło na Litwę, ale niemało też litewskiego do Polski (przez nieustanne powinowacenie się, tudzież przez naśladowanie największych panów, panów litewskich). Na ogół jeszcze za Stanisława Augusta były wielkie różnice obyczaju pomiędzy dworkiem szlacheckim z nad Wisły a Niemna.

Łudzi nas ta okoliczność, że szlachta litewska „przyjęła“ język polski i wydaje nam się, że to już o wszystkiem decyduje. Wymawiamy jednym tchem bezmyślnie: „przyjęła język, obyczaj

i pojęcia polskie". Utarty... frazes. Mierzymy znowu niepolską sprawę polską miarą i to miarą dzisiejszą. Mniema się (mylnie), jakoby szlachta litewska zatraciła swój język. Gdy Polak zatraci język, przestaje być Polakiem i przyjmuje cudze pojęcia; na tej podstawie zdaje nam się, że i ze szlachtą litewską tak było. Ale było inaczej. „Przyjęła" język, nie przyjmując całego obyczaju, a z pojęć — niemal nic. Polonizacya p o j ę ć ogółu szlachty litewskiej dokonywała się dopiero w XIX wieku.

Kiedy i w jakich okolicznościach język polski stał się powszechnie znanym szlachcie litewskiej — niewiadomo. Nikt tej sprawy nie badał! Tak się to jakoś zrobiło „samo przez się", że nikt nie wie, ani kiedy, ani jak.

Wiadomo natomiast, że całe grono książąt litewskich, którzy zjechali w r. 1386 na ślub Jadwigi i Jagiełły, nie potrzebowało tłumacza dla porozumienia się z Polakami, bo mówiło po białorusku. Ten język rozbrzmiewał na dworze Jagiełły, królowej Zońki i Kazimierza Jagiellończyka. Byli więc dynaści litewscy od początku grubo zrusczeni, skoro nie przywieźli z sobą do Polski litewskiego języka, ale ruski. Pierwszym „spolonizowanym" Jagiellończykiem był Jan Olbracht, drugim (nie Aleksander, lecz) Zygmunt Stary.

Polonizacya wypierała z wyższych warstw narodu litewskiego nie litewszczyznę, lecz rusczyznę. Nie bardzo widać w użyciu był język litewski u tych warstw i u całej szlachty, skoro pomimo ciągłych stosunków wzajemnych, od XIV wieku (na Mazowszu od XIII-go) niema w języku polskim śladów litewszczyzny. Są ślady tatarskie, madiarskie — litewskich brak. A toć wracało z Litwy nieraz po kilka i kilkanaście tysięcy jeńców, którzy tam przebyli całe lata; wojska litewskie składały się długo pół na pół z polskich ochotników; dziesiątki tysięcy mieliśmy małżeństw mięszanych — a w języku polskim tego wszystkiego ani śladu. Widocznie nasi, stykając się z Litwinami, nie mieli sposobności stykać się z językiem litewskim — a zatem język ten w chwili zawarcia unii z Polską był już wyparty w swym własnym kraju na stanowisko kopciuszka, był tylko mową ludową.

Jaką była ta mowa, jakie jej zasoby słownikarskie, dlaczego tak wcześnie przestała się kształcić, zmartwiała i zaschła, że nie mogła być przydatną intelligentniejszym warstwom własnego narodu już w XIV wieku — tego nie wiemy. Wiemy natomiast, co

ją ożywiło na nowo i dlaczego — zamarła w XIV, wskrzeszaną była w XVII i wskrzeszoną ostatecznie w XIX wieku.

Gdyby nie chrzest, nie byłby się i nadal nikt zatroszczył o język litewski. Ale księża polscy, przybyli nawracać i utwierdzać w wierze, mogli się porozumieć po polsku tylko z tymi Litwinami, którzy umieli po białorusku, a więc musieli przyswoić sobie język ludu, chcąc do ludu dostęp znaleźć. Kapłan polski zajął się tedy chronieniem języka litewskiego od ostatecznej zagłady — a potem szło wszystko szlakiem normalnym, podobnież jak w Polsce po przyjęciu chrześcijaństwa, i u wszystkich innych narodów.

Rozwój języków nowożytnych jest wszędzie zasługą Kościoła. Wszędzie byli kapłani tym jedynym stanem, który musiał umieć czytać i pisać, a sztukę tę musiał przenosić z języka łacińskiego na linguam vulgarem, vernaculam. Trzeba było ułożyć dla neofitów w ich języku pacierz, spisać go (żeby był odmawiany dosłownie, jednostajnie), podobnież główne artykuły wiary; a dalej szły obowiązki katechizacyi i kaznodziejstwa. Według wszelkiego prawdopodobieństwa były te elementy litewskiej piśmienności wytworzone przez polskich Franciszkanów długo przed oficyalnym chrztem Litwy, boć bez tego niema misyonarstwa.

Niema pisma bez księży, a kultury rodzimej niema bez kapłanów własnej krwi, bez duchownych rodaków. Na Litwie szły te sprawy w tempie szybszem, niż w Polsce. Zaraz po chrzcie pomyślano w Krakowie o tem, żeby wykształcić księży z pośród neofitów i nie szczędzono na to funduszów, zakładając w Pradze kollegium litewskie, gdy nie było jeszcze w Krakowie wydziału teologicznego. A gdy uzupełniano i wzmacniano uniwersytet krakowski, cóż czytamy w akcie erekcyjnym? Oto, że ma się przy tem na myśli potrzeby Litwy. Kiedy 1416 r. zjechała na Litwę komisya soboru kostnickiego (żeby zbadać zarzuty Krzyżaków), stwierdziła, że piecza duchowna nad ludem zorganizowana jest dostatecznie. Kościołów przybywało na Litwie szybko; od ich mnogości poczęły się przydomki „święta Litwa“, a zwłaszcza „święta Żmujdź“. Było więc duchowieństwa dużo, a to znaczy, że liczną była warstwa pielęgnująca język litewski. Jeżeli nastanie możność systematycznego przetrząśnięcia tych miejsc, do których uwieziono biblioteki i biblioteczki ognisk duchownych litewskich, znajdą się zapewne ślady tego pierwszego rozwoju piśmienności litewskiej,

jakieś kazania spisywane z razu po łacinie (może po polsku), lecz mające być wygłaszanemi po litewsku i opatrzone w tym celu glossami litewskiemi na te wyrazy, które kaznodziei trudniej było spamiętać, lub wyrażenia, które on sam pierwszy po litewsku obmyślił; jakieś zapiski modlitw, początki psalmów, pierwociny pieśni kościelnej. Nieznane to dotychczas, ale bo też nie robiło się poszukiwań (i polskie najobfitsze plony w tym kierunku przypadają dopiero na badaczy ostatniego pokolenia).

Ruch piśmienniczy i drukarski nastał na Litwie dzięki zwalczaniu się wzajemnemu propagand religijnych. Książę pruski łowił Litwę w sieci protestantyzmu, biskupi litewscy bronili się, a ster obrony ujęli (jak wszędzie) Jezuici; jakie położyli zasługi około języka, wiadomo każdemu Litwinowi. Wdzięcznem byłoby zadaniem, zbadać pochodzenie autorów druków litewskich. Czy wszyscy byli rodowitymi etnograficznie Litwinami — wątpliwe.

Pierwszy druk litewski ukazał się 1547 roku. W 52 lat potem znajdujemy w przedmowie litewskiego przekładu Postylli Wujka (1599) narzekania, że Litwini (nie Polacy!) lekceważą język litewski i nie dbają o niego. Że nie dbali, są jeszcze inne dowody.

Poza polemiką wyznaniową i wogóle poza wydawnictwami mającemi służyć celom ściśle religijnym — niema nic. Wśród walki o utrzymanie każdej parafii zależało na tem, żeby książka była jak najbardziej zrozumiałą ludowi. Autorowie ci pisali w narzeczu swej okolicy. Dla nich język był środkiem, celem polemika, propaganda wyznaniowa. Niema nikogo takiego, dla którego celem byłoby piśmiennictwo, jako takie, w imię ambicyi narodowej; niema ani jednego autora świeckiego. Toteż nie było zgoła starań o wyrobienie wspólnego języka literackiego. A Litwa posiada na małym stosunkowo obszarze wielkie bogactwa językowe, znaczne różnice narzeczowe. T. zw. Katechizm Ledesmy wydał 1595 r. kanonik Dauksza po żmujdzku. W dziesięć lat później wydaje go ktoś inny w narzeczu górnolitewskiem, żeby ustały narzekania, że „nie mamy katechizmu litewskiego“ [1]). Tamto wydanie było nieużyteczne na Litwie Górnej (wileńskiej).

I tak pozostało do końca niepodległości W. Ks. Litewskiego. Nie powstał wspólny język literacki. Nie znalazł się Litwin, któ-

---

[1]) Maurycy Stankiewicz: Bibliografia litewska, str. 27. (Kraków 1889).

ryby wystąpił z oświadczeniem, że ludy tych narzeczy są jednym narodem.

Literatura duchowna zdziałała aż nadto, żeby na jej podstawie wyrobić język życia publicznego. Były już dawno słowniki, byli już poeci (Donalitius 1714—1780), a rusczyzna pozostała językiem urzędowym. Było tak, jak chcieli Litwini, rządzący się sami w swem własnem, odrębnem, niepodległem państwie. Kiedy układali sobie swój Statut Litewski, zrobili to po białorusku.. W XVIII w. nie władali już Litwini językiem białoruskim. Niesposób było ułożyć w tym języku aktu działu spadkowego, cessyi, listu dłużnego i t. p., bo nie znały go ani strony, ani urzędnik, czy rejent. Nie znali nawet często abecadła ruskiego. Spisywano więc akt po polsku, ale wszystkie formuły urzędowe, zwłaszcza początek i koniec aktu, dawano po rusku. Pisarz umiał te formuły na pamięć, ale wypisywał je często abecadłem łacińskiem [1]).

Kwestyi wprowadzenia języka litewskiego, jako urzędowego, nigdy nie roztrząsano, nie podejmowano jej zgoła, chociaż mógł to zrobić każdy sejmik.

A jednak nie brak było Litwinom poczucia odrębności narodowej. Szlachta litewska (etnograficznie litewska) ani się sama za Polaków nie miała, ani też w Polsce za Polaków uważaną nie była. Pojęcia, rozpowszechniane o tem dzisiaj, są błędne.

W każdym akcie unii, w testamencie Zygmunta Augusta, w aktach elekcyjnych, w konstytucyach sejmów walnych, wszędzie aż do końca „Najjaśniejszej Rzpltej“ [2]) jest wyraźnie mowa o dwóch narodach. Wiadomo skądinąd, że w Polsce umiano już w XV. wieku odróżniać dokładnie państwowość od narodowości [3]), a w XVI wieku nawet pochodzenie od poczucia narodowego. Wyrażenia: gente Lithuanus, natione Polonus — nie znano. Polonizowała się na wskróś szlachta ruska po wojnach kozackich; etnograficzna litewska pozostała Litwinami. Zdawano sobie też z tego sprawę w Polsce i nikt nie mówił, że niema Litwinów. Formuła: „Litwin czy Polak — to jedno“, znaczyła (i znaczyć ma), że wspólne mają ideały, cele i trudy,

---

[1]) sam miałem w ręku setki takich aktów z czasów Augusta III. Sasa i Poniatowskiego.

[2]) tak się nazywały obydwa państwa razem; zwracam uwagę, że nigdy nie stosowano tego tytulu do samej Korony, lub do samej Litwy.

[3]) wykazały to dokładnie prace śp. Anatola Lewickiego.

że dobro i zło jednego są dobrem i złem drugiego. O zaprzeczaniu narodowości litewskiej nikt nie pomyślał nawet.

Mylnem jest też mniemanie, jakoby szlachta litewska zapomniała była języka ludu. Było to niemożebne, boć z ojca na syna musieli sprawować patrimonium w swych wioskach i słuchać co niedziela litewskiego kazania. Nie mieli czasu zapomnieć ojczystego języka! W literaturze polskiej są wzmianki nieprzerwalne o pewnych odrębnych cechach języka polskiego w ustach Litwinów; cechy te byłyby znikły, gdyby było choć przez jedno pokolenie przerwało się używanie języka litewskiego; są one bowiem tego rodzaju, że dadzą się wytłómaczyć tylko w warstwie, mówiącej po litewsku. Są one i dziś, choć zapewne w stopniu mniejszym. Poznajemy po jednem zdaniu, że ktoś jest Litwinem etnograficznie, choćby najbieglej mówił po polsku. A niema tych cech u etnograficznych Polaków z Litwy, niema ich również u osób z Litwy, pochodzenia białoruskiego.

Niema żadnych danych do twierdzenia, jakoby szlachta litewska wyrzekła się była swego języka. Używała tylko obok niego jeszcze drugiego, wybierając w ciągu stuleci XIV.—XIX. pomiędzy białoruskim a polskim. A już zgoła mylnym jest pogląd, jakoby język polski rugował był litewszczyznę; on rugował rusczyznę.

Zastanówmy się teraz nad pytaniem, dlaczego język litewski dopiero w XIX. wieku otrzymał w oczach samych Litwinów pełnię praw, jako narzędzie piśmiennictwa narodowego i życia publicznego?

Jeszcze przed 50-ciu laty utyskiwało się w Polsce, że Kadłubki i Długosze pisywali po łacinie. Bredziło się patryotycznie, że pisarze ci za mało mieli patryotyzmu i że przez „dziwne“ niedbalstwo dopuszczono łacinę do urzędów i „wyrugowano“ przez to polszczyznę z życia publicznego, opóźniając rozwój kultury narodowej (o lat 100—500, bo różnie sobie tę stratę obliczano). Hasłem „postępowości“ ówczesnej było wołać: „Przeklęta łacina!“ A że sprowadzili ją księża, a zatem... czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy byli posiedli liturgię słowiańską, a może jeszcze lepiej, gdybyśmy byli nie spieszyli się tak bardzo z przyjęciem chrztu — doczekawszy się czasu, aż skrystalizowałaby się dokładniej kultura rodzima polska, t. j. pogańska?

Tak sądzili nawet uczeni o tych sprawach w Polsce, a dziś

uśmiechnąłby się na takie wywody uczeń gimnazyalny, bo wie, co następuje:

Bylibyśmy po Łabę panami, gdybyśmy byli chrzest przyjęli wcześniej. Kultura pogańska wśród chrześcijańskiej Europy— to absurd. Nie mieliśmy żadnej kultury, nabyliśmy jej dopiero przez chrzest. Nie byliśmy narodem polskim, tylko Polanami, Lachami, Mazurami i t. d., pozbawionymi nawet poczucia wspólnych interesów. Nie było języka polskiego, tylko mowa kujawska, krakowska, mazowiecka i t. d. Księża przynieśli nam wiarę św. i — abecadło. Bez nich bylibyśmy jeszcze dłużej szarą masą etnograficzną, niezdatną ani do narodowej polityki, ani do języka narodowego, nad którego urobieniem mozolili się oni przez kilka pokoleń przed Rejem. Pisywać książek nie mogli jednak po polsku, póki te prace wstępne (znane w historyi każdego języka, a z konieczności długotrwałe) nie były załatwione. Z tego samego powodu nie można było sporządzać aktów publicznych w języku ludowym. N u l l u s s a l t u s jest regułą w rozwoju narodów. Rozwijaliśmy się stopniowo, bo inaczej być nie mogło. Łacina nie wyrugowała polszczyzny, bo polszczyzna była niepiśmienna; ochroniła nas natomiast od niemczyzny, która byłaby zalała całą Polskę —gdyby nie łacina dobroczynna. Pod jej płaszczem kształcił się język polski i wykształcił.

Rozwój litewskiego języka odbywał się również stopniowo, lecz s z y b c i e j.

Podczas gdy od chrztu Polski (966) do wyświęcenia pierwszego Polaka na kapłana (S u ł a, 1057) minęło lat 91, założyła królowa Jadwiga kollegium litewskie w Pradze w r. 1397, należy więc przypuścić, że Litwini posiadali pierwszych kapłanów rodaków już w 20 lat po zniesieniu pogaństwa.

Do pierwszej książki, napisanej po łacinie przez rodowitego Polaka (K a d ł u b e k, około 1208), upłynęło lat od chrztu około 250, najstarsze zaś rymy polskie pochodzą dopiero z XV. stulecia, a książki treści świeckiej zjawiają się po polsku aż w XVI wieku, mniej więcej w 550 lat po przyjęciu chrztu. Na pierwsze roztrząsania spraw językowych (Z a b o r o w s k i, 1518), czekaliśmy 552 lat.

Litewski język doczekał się pierwszych utworów już w 140 mniej więcej lat po chrzcie Jagiełły (R a p a g e l l a n, zmarł 1545), a gdybyśmy odwlekli tę datę aż do katechizmu M a ż w y d i s a (1547), wypadnie lat 161. Do pierwszego słownika (S z y r w i d,

1629) upłynęło Litwie lat 243, a do pierwszej gramatyki (Klein, 1653) zaledwie 267.

Rozwój w porównaniu z językiem polskim szalenie szybki! Litwini korzystali już z ogólnego postępu czasów, a przytem byli w tem szczęśliwem położeniu, że mogli się oprzeć na kulturze wyższej, im życzliwej, podczas gdy nam tego brakowało; my w ciągu wieków wytwarzania języka piśmiennego narodowego stykaliśmy się z kulturami wyższemi, względem nas wrogiemi. Łacina była jedynem naszem wspomożeniem kulturalnem, podczas gdy Litwini oparli się na języku żyjącym. W dziejach Litwy łacina mniej waży. Polszczyzna odegrała w rozwoju języka litewskiego tę rolę łaciny.

W połowie XVII w. mieli więc już Litwini i słownik i gramatykę. Posiadali też zbiory kazań, a więc drogę otwartą dla literatury świeckiej, do której kazania stanowią tak świetny pomost w dziejach każdego języka. A jednak nastały czasy gorsze i wiek XVIII nie przyniósł żadnych owoców z tych nabytków. Sprawa języka litewskiego raczej się cofnęła, niż posunęła.

Równocześnie cofa się język polski!

Kultura litewska wznosiła się bowiem i opadała równocześnie z polską, dokumentując, że „Polak i Litwin, to jedno". Połowa XVII w. jest u nas datą przełomową pod wielu względami; tak samo jest na Litwie.

Równoczesność przypływu i odpływu kulturalnego przetrwała Rzpltę. Zanim przejdę do okresu porozbiorowego, pozwolę sobie objawić zdanie, że gdyby Litwini nie byli przejęli się kulturą polską, byliby ugrzęźli w ruskiej i nie byłoby dzisiaj narodu litewskiego. Ani jeden chłop litewski nie spolonizował się, bo lud polski nie parł na Litwę, podczas gdy Litwini ustępowali zawsze (i ustępują dotychczas) ekspanzyi białoruskiej. Bez unii z Polską byłby napór ruski silniejszy i wszechstronny, ogarniający lud i szlachtę, życie świeckie i kościelne. Litwa byłaby prawosławną, a czy w takim razie byłaby literatura kościelna w języku litewskim, czy byłyby owe słowniki, gramatyki i zbiory kazań litewskie?

Zastanówmy się teraz nad okresem porozbiorowym:

Wspólna niewola zbliżyła jeszcze bardziej obydwa narody. Wspólne cierpienie jest cementem silniejszym od wspólnej radości. Wydziedziczeni spadkobiercy Rzpltej chwytali się spraw kulturalnych, jako środka politycznego, żeby nie zginąć i nie prze-

paść na kartach historyi. W tem położeniu było to rzeczą łatwo zrozumiałą, że garnięto się jeszcze usilniej do kultury już rozwiniętej, gdzie praca była łatwiejsza, a owoce wydatniejsze. Toteż w XIX wieku zaczęła się naprawdę polonizacya szlachty litewskiej i postępowała szybko. Nikt chyba nie zarzuci Polakom XIX wieku narzucania się przemocą? Jednego tylko znam polonizatora szlachty litewskiej, który używał gwałtu. Imię jego: M u r a w i e w. Ten zrobił z Litwy męczennicę polskości i podniósł przez to w oczach szlachty litewskiej polskość do znaczenia świętości.

W ciągu XIX dopiero wieku przyjmuje Litwa w zupełności polski obyczaj i — teraz dopiero — p o l s k i e p o j ę c i a. Unia przeszła w krew i mózgi. Prześladowania doprowadziły do tego, iż zapomniano na Litwie zupełnie, że Litwa była aż do r. 1795 państwem odrębnem i Litwini za osobny naród uważani. Zginęła nawet tradycya tego, a przypomnienie tych faktów uważanoby za targnięcie się na unię.

Spolonizowała Litwę nie polska przemoc, lecz rosyjska.

I doprawdy, ta szlachta, polonizując się, miała jednak dobry instynkt litewski! Polszczyzna miała bowiem w tych czasach dla przyszłości Litwy ponowną i zwiększoną jeszcze wartość — jedynego sposobu przechowania litewskości do następnych, lepszych czasów. Nastało zniesienie unii, próby wprowadzenia języka rosyjskiego i do łacińskich kościołów, apostazye kapłanów, proklamowanie Wilna miastem „odwiecznie rosyjskiem", w końcu zakaz drukowania książek litewskich abecadłem łacińskiem. Zakaz nie zdał się na nic, nawet lud książki z grażdżanką palił, d z i ę k i t e m u, że Litwa była dostatecznie nasycona — polskością.

O ile zdarzało nam się w ciągu XIX w. posiąść na Litwie siłę jakąkolwiek, wychodziła ona zawsze na dobro litewszczyzny i nigdy nie była jej wrogą.

Uniwersytet wileński nie byłby mógł być litewskim co do języka wykładowego, bo t a k i e g o języka nie posiadała ówczesna litewszczyzna, która do dziś dnia nie przeprowadziła zresztą jeszcze w zupełności dzieła wspólnego języka literackiego dla wszystkich swych dyalektów.

Z polskiego uniwersytetu w Wilnie szerzyło się zamiłowanie litewszczyzny tak dalece, że korzenie dzisiejszego ruchu narodowego litewskiego t k w i ą w t y m u n i w e r s y t e c i e. Za-

częto się zajmować litewskością Litwy. Litewskie „dainy“ wchodzą w tym czasie do literatury polskiej (Osiński, Brodziński), poczem pojawia się cały szereg utworów w duchu patryotycznym litewskim, od „Anafielasa“ i „Witoloraudy“ Kraszewskiego do „Margiera“ Kondratowicza. Litwę opiewać, budzić ku niej miłość, zaznaczać, że ona istnieje, stało się ambicyą i rozkoszą poetów polskich. Miłośnictwo Litwy stało się conditio sine qua non patryotyzmu polskiego.

I nawzajem mężowie najbardziej zasłużeni około ponownego i dalszego rozwoju kultury litewskiej, najwięksi pisarze litewscy, historyk Dowkont (1793—1864), poeci biskupi Wołonczewski (1801—1875) i Baranowski (1835—1902) byli wielkimi zarazem patryotami polskimi. Były to trzy wielkie postacie Litwinów o kulturze na wskróś polskiej. Słynęli na całą Polskę, chociaż po większej części nie wiedziano nawet, że są pisarzami litewskimi.

Równocześnie więc odrodziła się kultura polska i litewska; równocześnie nawet nastał w jednej i drugiej okres wielkiej poezyi — jakby nowej wskazówki udzielały dzieje, że Litwie dobrze wtedy i o tyle, gdy i o ile dobrze jest Polsce.

Takie zapatrywanie było też powszechnem i jakby obowiązującem wśród patryotów litewskich do niedawna. Dopiero w tem pokoleniu coś się popsuło.

Demokratyzacya Europy, podnosząc lud coraz wyżej, przyspieszyła nacyonalizowanie się. Stary ideał polski — poczucie narodowe, patryotyzm — stał się powszechno europejskim przez ironię losu wtedy, gdy państwa polskiego nie stało!

Niech mi będzie wolno zastosować tu do sprawy litewskiej pewne kryteryum, którego zwykłem się radzić, a które radbym rozpowszechnić. W wypadkach wątpliwych, jak się ma Polak zachować wobec pewnej kwestyi, zapytuję się: co byłoby, gdyby państwo polskie nie przestało istnieć?

Sejm czteroletni zachował odrębność państwową Wielkiego Księstwa Litewskiego. Sprawami swemi byłaby kierowała nadal Litwa sama, według własnej woli. Szlachta litewska nie byłaby się tak polonizowała, bo nie byłoby cementu-cierpienia i nie byłoby potrzeby dawania pierwszeństwa kulturze silniejszej dla tego samego, że silniejsza wobec wroga. Prądy społeczne działałyby zaś intenzywniej, bo swobodniej, w kraju niepodległym. I Polska i Litwa byłyby się zdemokratyzowały przy wolności

szybciej i lepiej. Ujemne strony, nieuchronne zrazu przy każdem przesileniu, nie objawiałyby się tak silnie. Ruch ludowy powstałby i w Polsce i na Litwie przynajmniej o jedno pokolenie wcześniej.

Rzecz prosta, że ustawa rządowa byłaby coraz demokratyczniejszą. Życie publiczne ogarnęło miasta już za Trzeciego Maja. Nie będzie więc żadnej przesady w przypuszczeniu, że ogarnęłoby lud wiejski w połowie XIX wieku. Rządy „obojga narodów“ zajęłyby się oświatą ludową. Troska o „szkółkę elementarną“ znaną była już Komisyi Edukacyjnej, godzi się więc mniemać, że około r. 1850 szkolnictwo ludowe byłoby organizowane na szeroką skalę.

Lud litewski byłby powołany do życia publicznego przez swój własny rząd. Poparcia rządowego doznawałoby piśmiennictwo litewskie. Wobec tego jasną jest rzeczą, że język litewski byłby zapukał wcześnie o dostęp do aktów publicznych; używając terminologii dzisiejszej, domaganoby się, żeby go zrobić językiem urzędowym. Czyż można sobie wyobrazić opozycyę przeciw temu? Sprawa ta załatwiłaby się sama swoją siłą ciężkości. Również niesposób sobie wyobrazić, żeby rząd litewski miał się zabierać na Litwie do prześladowania Polaków. Nie byłoby powodów do żadnych starć pomiędzy Polską a Litwą i Litwini nie mieliby o co potykać się z Polakami. Ekspanzya polska nie szłaby i tak na Litwę, bo demokratyzacya-nacyonalizacya Europy, wskrzeszająca zapomniane narody słowiańskie, dałaby Polsce olbrzymie pole działania w polityce zewnętrznej względem narodów słowiańskich, które ciążyłyby ku Polsce.

Upadek Rzpltej był ciężką klęską litewskości, bo państwo polskie byłoby największą rękojmią nowej świetności Litwy.

...Wracajmy do rzeczywistości. Wśród warunków odmiennych nastała demokratyzacya Litwy późno, a początki tego przypadły na czasy, kiedy szlachta miała wszelki ruch skrępowany. Ruch ludowy i wszystko, co z nim związane, rozegrał się nie na tle ogólno-narodowem litewskiem, lecz wyłącznie pomiędzy ludem osamotnionym a czynownictwem rosyjskiem, przyczem droga do wyższej oświaty wiodła przez rosyjską szkołę rządową. Wystarczy zwrócić na to uwagę; rozwodzić się nie potrzeba!

Tak się wychowało pierwsze pokolenie patryotów litewskich pochodzenia ludowego. Pozbawione polskich pojęć znalazło się wobec szlachty, przesiąkniętej temi pojęciami. Nieporozumie-

nie było nieuchronne i w tem źródło polonofobii z jednej strony, a niechęci do „litwomaństwa“ z drugiej.

Nie brak i dziś polonofilów wśród patryotów litewskich, ale cały szereg okoliczności wysunął na pewien czas na pierwszy plan polonofobów.

Ludzie ci wynieśli ze szkół pojęcia rosyjskie. Każdy z nich był przez pewien czas moralnie zrusyfikowany, wielu zaś pozostało takimi i pozostanie.

Musiała się atoli nasunąć kwestya, czy nie możnaby mieć pojęć litewskich?

Pojęć narodowych i społecznych nie zaimprowizuje się. One wyrastają z wieków, nie z chwili.

Polonofobia „litwomanów“ pochodzi z rozpaczy nad brakiem pojęć litewskich. Cały świat duchowy na Litwie — poza wykładami w szkole — wydaje im się nie litewskim, bo polskim. Nie rozumiejąc tego zjawiska, postanawiają więc pozbawić Litwę pojęć polskich. Co dadzą na to miejsce?

Zamierzają dać pojęcia litewskie, łudząc się, że odszukają je w okresie z przed roku 1386. Inde irae na Jagiełłę i Zygmunta Augusta, w tem źródło ochoty do przekreślenia pięciu wieków historyi litewskiej, a ogromnej adoracyi pogańskiej Litwy. Z zapałem godnym współczucia, z gorącą wiarą w sercu rekonstruują sobie Litwę pogańską z pieśni, z obrzędów, zwyczajów ludowych i t. p.

Nie wiedzą, że nauka przechodzi już do porządku dziennego nad domniemaniem, jakoby w „kulturze ludowej“ było coś starożytnego[1]). Litewskich epigonów Chodakowskiego czeka srogie rozczarowanie. Po czasie hypotezy ich runą, jak domek z kart. Pieśni „ludowe“ dostaną daty historyczne, stosunkowo nie stare, znajdzie się ich pochodzenie, często nawet autorowie; wykryją się źródła literackie (nieraz bardzo odległe!) podań, a nawet guseł i w końcu te poszukiwania pogańskiej kultury rodzimej litewskiej zdadzą się na materyały do historyi wsi litewskiej (dworu, chaty i plebanii) w wieku XVII i XVIII. Litwa nie będzie stanowić podtym względem wyjątku wśród narodów europejskich.

Być może, że Litwa wyda kiedyś z siebie na tle własnej

---

[1]) Przedmiotu tego dotknąłem w rozprawce p. t. „Konserwatyzm chłopski“ w *w Bibliotece Warszawskiej* z sierpnia 1903.

kultury nowe jakie pojęcia, litewskie, ale to rzecz przyszłości, nie przeszłości. Obecnie ma do wyboru pomiędzy pojęciami polskiemi a rosyjskiemi. Rosyjskie się nie przyjmą, bo — katolicyzm; a więc bez polskich nie byłoby żadnych, t. j. że Litwa zostałaby pozbawioną wszelkiej kulturalnej siły twórczej.

Polonofobia pewnej części Litwinów polega więc na:

a) nieznajomości historyi litewskiej,

b) mylnem, przestarzałem mniemaniu o folklorze.

Obydwie przyczyny są tego rodzaju, że z czasem muszą ustać, bo pochodzą z braku ruchu naukowego.

Nie popadajmy w ten sam błąd i nie odpowiadajmy na polonofobię litwofobią. Miejmy otuchę, że braki litewskie będą uzupełnione i że potem nastąpi inna oryentacya.

Uznając odrębność narodową Litwinów i wszelkie wypływające z tego konsekwencye, przy tem się tylko upierajmy, że każdy Polak ma prawo wołać na Litwę:

„Litwo, ojczyzno moja!“

Trzeba nam być patryotami „obojga narodów“.

Dr. Feliks Koneczny.

MACIEJOWSKI A SEMENENKO.

Poruszana w dwóch poprzednich zeszytach *Świata Słowiańskiego* sprawa o umieszczenie dzieł Maciejowskiego na Indeksie, ma tło nietylko kościelne, lecz narodowe polskie i jest zarazem ustępem z historyi słowianofilstwa w Polsce, zawierającym ciekawe, pierwszorzędnego znaczenia fakty. Ks. Semenenko nie był wcale wrogiem idei słowiańskiej.

Ale zacznę jeszcze od Indeksu.

Cokolwiekbądź trzymać się podoba o kościele słowiańskim, który się miał szerzyć wśród Polaków, to, co pisał Maciejowski o papiestwie, jest wprost wymierzone przeciwko Kościołowi katolickiemu, a tem samem słusznie dostało się na Indeks. Przedstawia on papieży stopniowo dochodzących do władzy nad całem chrześcijaństwem; nie mieli jej tedy od początku, a więc nie mają jej z ustanowienia Bożego. Wyraźnie nawet mówi Maciejowski, że tę władzę mają z ustanowienia cesarzów zachodnich; biskup bowiem rzymski „podług ustanowień zachodnich cesarzy, miał mieć główną pieczę nad kościołami w całem chrześcijaństwie i być

ogólnym papieżem“ [1]). Powiada także, że papież dochodzi z czasem do tej władzy dzięki swojej ambitnej zręczności: „Poznał bowiem wkrótce, że chcąc wznieść swą powagę, powinien także prawodawczą i sądowniczo-kościelną w osobie swojej połączyć władzę; rozszerzyć swoją dyecezyę lub, gdyby to się udało, w całym chrześcijańskim kościele jedną tylko rzymsko-katolicką utworzyć dyecezyę i całą starszyznę kościelną zawisłą od siebie uczynić“. To wszystko miał sobie dopiero zdobywać; nie był tedy papież od Chrystusa postanowiony głową całego Kościoła. Chciał nią być przemocą. A że „Kościołem wschodnim rządził naczelnie kapłan, takąż samą nazwą, co i papież rzymski, godność swą oznaczający, z nim to zaczął papież toczyć spory o dyecezye, chcąc je uszczuplić“. Niemcy, duszący Słowian, wykonywali wolę papieży, dążących do utworzenia jednej tylko dyecezyi. Szukali Słowianie obrony w słowiańskim kościele i byli przednią strażą kościoła wschodniego, broniącego się przed zakusami Rzymu. Zwycięstwo w końcu schyzmy wśród Słowian, to błogosławieństwo Boże! „Kiedy toczyła się o dyecezye walka pomiędzy wschodnim a zachodnim Kościołem — powiada Maciejowski — Słowianie byli najgorliwszymi greckiej cerkwi obrońcami i do jej obrządku przyciągali resztę swych braci w pogaństwie jeszcze żyjących. Przez co zwrócili oni na siebie przenikliwe oko zachodniej polityki i ściągnęli nieszczęścia, które wśród walki łacińskiego obrządku z greckim hamowały postęp oświaty w narodzie; a później po przyciągnięciu na łono Kościoła łacińskiego niektórych zakarpackich i podkarpackich władców słowiańskich, pomiędzy samymi Słowianami, już chrześcijanami, w długie czasy trwać ku sobie mającą zaszczepili nienawiść i prześladowanie. Zetknąwszy się za Karpatami Kościół wschodni z zachodnim, ustąpić mu musiał; a że następnie znowu się wzmógł tamże i po wszystkich niemal rozszedł się narodach słowiańskich, to zaiste błogosławieństwu Bożemu przypisać należy“.

Takie poglądy szerzyło się wśród Polaków, wystawionych na najokropniejsze pokusy i na najsroższe prześladowania. Jak to musiało być niebezpiecznem, tego chyba dowodzić zbyteczna. Sam Paszkiewicz to stwierdza, chwaląc dzieła Maciejowskiego, jako bardzo dla rządu pożądane.

---

[1]) Ustępy, które cytuję, biorę z *Przeglądu Poznańskiego*, tom XXVI, str. 123 i następne.

Były to czasy, w których niszczono Unię, a gotowano zamach i na Kościół łaciński w Polsce. „Encyklika Grzegorza XVI w r. 1832 do biskupów polskich — pisze X. Kalinka — wskutek usilnego nalegania Mikołaja napisana, wpłynęła bardzo na oziębienie serc polskich dla stolicy apostolskiej. Rząd rosyjski, bardzo podstępnie, w pismach sobie oddanych, przedstawiał Polakom, że stolica święta potępiła ich usiłowania odzyskania niepodległości (o czem w encyklice niema ani wzmianki), że po takiej nauce Polacy powinniby wiedzieć, czego mogą spodziewać się od papieża i raz przecie wejść na tę drogę, aby nie utrudniać sobie stosunku ze swym prawowitym monarchą Mikołajem, drażniąc go bez potrzeby i bez pożytku swojem odwoływaniem się do Rzymu. Cesarz Mikołaj tak był pewny skutków tej encykliki w Polsce, że zawezwawszy pod koniec roku 1833 (po wyprawie Zaliwskiego) biskupów z Królestwa do Petersburga, nie wahał się oświadczyć im, że gotów będzie przywrócić Królestwu konstytucyjne i narodowe instytucye, które nadał im brat jego Aleksander; ale poufnie dołożył warunek, aby biskupi polscy oderwali się od stolicy apostolskiej i utworzyli między sobą osobną, a najwyższą dla własnego Kościoła władzę. Rzecz tę całą przez długie lata w zupełnej dochowano tajemnicy". Ale zaniepokojenie było wśród katolików wielkie. Toteż kiedy 1840 r. cesarz zwołał do Warszawy biskupów i z każdym miał osobne konferencye, a miała być mowa o prawdopodobnem zerwaniu z papieżem, i następnie biskupi otrzymali ordery, mocno byli Polacy poruszeni. Mówi o tem hr. Cezary Plater w relacyi swej z dnia 31 marca 1841 do kardynała sekretarza Stanu [1]).

W tejże relacyi hr. Plater mówi o innym fakcie bardzo ważnym: „Dawniej — pisze — cesarz Aleksander, na usilne prośby pewnych znakomitych katolików, odrzucił był i podarł projekt mu podany oderwania polskiego duchowieństwa od Rzymu. Kilka lat temu urzędnik wyższy miasta Czausy zdradził był nieostrożnie nowe podobne knowania rządu. Nie miały one żadnych następstw, bo Rzym był zawczasu o nich powiadomiony. Ale obecnie Marszycki, bogaty i szanowany powszechnie obywatel, Polak, kurator szkół w prowincyach polskich, w poro-

---

[1]) Relacye te są zachowane w archiwach XX. Zmartwychwstańców w Rzymie.

zumieniu z generał-gubernatorem Bibikowem przedstawił cesarzowi memoryał o wychowaniu, jakie się winno dać młodzieży polskiej. Otóż w tym memoryale taki znajduje się ustęp: „Dotychczasowe usiłowania rządu, aby uśmierzyć niespokojne umysły Polaków, nie osięgały skutku, bo uderzały na uczucia narodowe Polaków. Występując przeciwko językowi polskiemu, przeciwko zwyczajom i prawom miejscowym, jeszcze tylko więcej pobudzały szlachtę przeciwko rządowi. Trzeba tedy przedewszystkiem pozostawić Polakom ich narodowość. Jest atoli przeszkoda daleko silniejsza, niedopuszczająca zlania się Polski z Rosyą i tę trzeba przedewszystkiem usunąć. A tą przeszkodą — to religia katolicka, a w szczególności znoszenie się wiernych i duchowieństwa z Rzymem, jakie ona nakazuje. Jak długo Rzym będzie kierował sumieniami Polaków, cesarz znajdzie w nich zawsze opór swoim widokom“. Następnie Marszycki czuje się upoważnionym oświadczyć w imieniu Polaków, że „jeżeli rząd zrobi konieczne ustępstwa na rzecz narodowości polskiej, ani wątpi, że Polacy zgodzą się ze swej strony wyrzec się wszelkich stosunków z Rzymem“. Podawał nawet jako środek konieczny mianowanie namiestnikiem wszystkich prowincyj polskich, złączonych w jedno, księcia Michała Radziwiłła, a jednego z biskupów patryarchą Kościoła katolickiego narodowego polskiego. Zdawałoby się, że te tak śmiałe projekty powinny były ściągnąć na p. Marszyckiego niełaskę carską. Przeciwnie, nietylko nie utracił swej posady kuratora, ale mianowanym został radcą stanu i zawezwany wraz z Bibikowem i Paszkiewiczem do Petersburga dla narady. Wezwany został także marszałek gubernialny hr. Tyszkiewicz“.

Przegląd Poznański wiedział o tych knowaniach, toteż podnosił głos przeciwko dziełom Maciejowskiego, a kiedy ten zasłaniał się tem, że księża w Królestwie przeciwko jego poglądom nic nie piszą, a więc się na nie godzą, słusznie mógł mu *Przegląd* odpowiedzieć, jak odpowiedział, że sam przecie wie najlepiej, że pod rządem rosyjskim nikt przeciwko niemu odezwać się nie ośmieli; owszem, powiada mu, że dlatego artykuły w *Przeglądzie* przeciwko niemu drukowane, podpisywane nie są (bo i z tego mu Maciejowski zarzut robi), że je piszą z pod zaboru rosyjskiego księża. Tam bowiem najlepiej rozumiano niebezpieczeństwo z szerzenia podobnych poglądów, z jakimi Ma-

ciejowski występował. I może nie pomylimy się, jeśli przypuścimy, że stamtąd go też zaskarżono do kongregacyi Indeksu.

Sześć lat temu dowodziłem (w *Gazecie Narodowej*), że niema żadnej pewności, żeby X. Semenenko był sprawcą umieszczenia dzieł Maciejowskiego na Indeksie. Podałem był na to dowody, choć nie przeczyłem, że X. Semenenko był w owym czasie jedynym konsultorem Indeksu Polakiem, a to zdawałoby się przemawiać za tem, że jemu, a nie komu innemu dzieła Maciejowskiego dano do rozpatrzenia. Widocznie nie przekonałem nikogo, skoro znowu całą odpowiedzialność składają na X. Semenenkę. Nie uważam tedy za potrzebne obstawać przy swojem zdaniu. Sądzę, że jeśli rzeczywiście X. Semenenko był sprawcą umieszczenia Maciejowskiego na Indeksie, dobrze się zasłużył i Kościołowi i krajowi.

Rząd rosyjski, jak zmierzał, tak i dziś zmierza przeciwko temu samemu: ku zagładzie narodowości polskiej; a za środek najskuteczniejszy, by dojść do tego celu, uważa oderwanie Polaków od Rzymu. Wszakże niedawno jeszcze temu, zaraz po wojnie japońskiej, pojawiły się artykuły w *Nowem Wremieniu* z propozycyą, by Polacy zerwali z Rzymem, a utworzyli kościół narodowy w Polsce, podając to jako jedyną drogę do zbliżenia się z Rosyą, do uzyskania autonomii.

Dziwne zaiste mamy przed sobą zjawisko! Z jednej strony faktem jest, że rząd rosyjski godzi się zawsze na wszelkie ustępstwa na rzecz narodowości polskiej, byleby Polacy oderwali się od Rzymu; z drugiej strony jest rzeczą najpewniejszą, że chce wytępić narodowość polską. Jak jedno z drugiem pogodzić? Jak to wytłómaczyć? Tem jednem chyba tylko, że rząd ma tę pewność, iż Polacy odstąpiwszy od Rzymu, narodowości swej nie ustrzegą. Toteż *Przegląd Poznański* w rozprawie swojej o Maciejowskim, który za nieszczęście uważał, że się Polacy nie ostali przy Kościele wschodnim, że się skłonili ostatecznie do Rzymu, a z drugiej strony to jedno dobrego w Polakach uznaje, że zachowali gorący patryotyzm, zapytuje go: A co sprawia, że w Polakach uczucie narodowe tak mocne, że w nich patryotyzm tak silny? Pomimo tylu czynników rozkładowych, jakie na nich działają, pomimo tylu ciosów, na jakie wciąż są wystawieni, dlaczego tyle jednak w nich wielkości, tyle siły? Sami to Rosyanie nam przyznają. Gogol, za bytności swojej w Rzymie (1838), powiedział Semenence: „U nas z góry napiera przemoc, ale

niema wewnątrz ducha. U was, u was, co za życie! Po upadku tyle mocy! Cios, który miał zniszczyć, podniósł i ożywił! Co za ludzie, co za literatura, co za nadzieje! To rzecz nigdy niesłychana!“ A w naszych czasach Stołypin, za czasów swego gubernatorstwa, powiedział jednemu obywatelowi: „Zazdroszczę wam Polakom waszego patryotyzmu; u nas bo patryotyzmu niema“. I czy nie dlatego dziś dla nas tak jest nieubłagany? A swojem postępowaniem czyż nie daje świadectwa temu swemu uczuciu i przekonaniu?

Rosya przez swą pozycyę, potęgę, wielkość (obszarową) mogłaby łatwo stanąć na czele Słowian, a nie staje. Owszem, robi wszystko, żeby Słowian sobie zrazić. Bo nie potrafi uszanować innych, rządzić inaczej, panować, jak oparta na sile materyalnej. Ma tę siłę; niema wewnątrz ducha. Kościół wschodni jej tego ducha nie dał; owszem, jeśli co było, odebrał. Nie dał go nikomu. Jeśli w Bułgaryi jest tyle siły wewnętrznej, tyle wartości moralnej, to dlatego, że się ona z Kościołem wschodnim nigdy nie była zupełnie zespoliła, bo występował zawsze względem niej wrogo, gnębił ją i wynaradawiał, a ile razy potrafiła się była odeń oderwać i połączyć z Rzymem, tyle razy — i tylko wtedy — była wolną, potężną, szczęśliwą. Że Kościół wschodni „rozszedł się“, według wyrażenia Maciejowskiego, po wszystkich niemal narodach słowiańskich, to nie błogosławieństwu Bożemu przypisać należy, jak on chce; ale błogosławieństwu Bożemu przypisać należy, że w Polsce się Kościół wschodni nie rozszedł. Dziś tę siłę ducha, tę siłę moralną, jaka jest w Polakach, Rosyanie muszą sobie dopiero zdobywać. Zdobędą z czasem, bo dużo jest wśród nich jednostek wyższych, szlachetnych; ale widzimy, z jakim to trudem przychodzi, bo walczyć muszą z tyloma uprzedzeniami, które Kościół wschodni im zaszczepił. Wobec Polaków bezsilnych i wcale nie bez win i błędów i wad — Rosya jednak czuje się słabą, gnębi ich z obawy ich wyższości.

Czy Maciejowski pisał w złej wierze? Że miał świadomość tego, iż jego działalność jest antykatolicką, widać z tego, że żonie nie chciał zostawić swych rękopisów, bo „fanatyczna katoliczka“. Musiał też czuć, że rządowi w jego przewrotnej akcyi pomaga, skoro od niego żądał i brał zapomogi. Rząd rosyjski nie zwykł dawać subwencyj na dzieła naukowe polskie, chyba takie tylko, które służą do jego celów destrukcyjnych względem

Polski. Zresztą nie chodzi mi o to, by dowieść jego złej wiary; dość mi pokazać, że książki jego były niebezpieczne, że wchodziły w zamiary rządu, który niszczył unię i przygotowywał zagładę katolicyzmowi, a w końcu narodowi, że zawierały napady na Kościół katolicki, że więc słusznie zostały umieszczone na Indeksie.

Przejdę raczej do trzeciej kwestyi, do tego, czy X. Semenenko był przeciwnikiem idei słowiańskiej? *Świat Słowiański* zajmuje się wszelkimi i wszystkich czasów objawami słowianofilstwa w Polsce; może tedy czytelników jego interesować będzie, jak wyglądała wówczas idea słowiańska u Polaków, będących w służbie Kościoła.

X. Semenenko był Białorusinem; rodzina jego była i pozostała prawosławną. Jeden brat jego umarł jenerałem na Kaukazie; drugi był naczelnikiem powiatu w Kownie w czasie powstania. W domu mówił po rosyjsku. Nawrócił się w szkołach w Tykocinie; skończył gimnazyum w Krożach, mając lat 15 i zaraz 1830 rozpoczął nauki uniwersyteckie w Wilnie; potem przyłączył się do powstania. Z korpusem Giełguda i Chłapowskiego przeszedł do Prus — i znalazł się jako emigrant we Francyi. Zatracił zupełnie wiarę, został anarchistą. Jański go nawrócił, i zaraz (1835) emigracyjne pismo *Północ* w Paryżu donosi z przekąsem, że Semenenko „miał w Polsce wynaleść narodowość ruską". Widocznie już wtedy zajmował się kwestyą słowiańską. Jański wciągnął go, jednego z pierwszych, do „Bractwa Służby Narodowej" (z którego potem wyszło zgromadzenie Zmartwychwstańców) przez siebie w tym czasie (1835) założonego. Semenenko był najgorliwszym jego członkiem.

Jaki był cel tego Bractwa? Zapisuje Jański: „propaganda względem schyzmy, jeden z najważniejszych celów Bractwa". I daje tego bliższe wyjaśnienia: „Katolicyzm sprzymierza nas z innymi ludami słowiańskimi, usposobionymi do wolności; wyznacza nam cel naszych usiłowań względem większości Słowiańszczyzny, która jest grecka". — W innem miejscu daje taki program Bractwu: „Dziś początek jakiejś nowej, powszechnej poprawy. Ludy słowiańskie przynoszą na tę pracę społeczną swoje świeże, potężne siły. Ale: a) zły duch chce ich użyć na swoje cele przez Mikołaja; b) są rasowe, nałogowe wady w ich życiu praktycznem; c) duch buntowniczy, rewolucyjny, rozkieł-

znanej wolności, pysznej filozofii, sprawić może ich zgubę. Stąd powinność: sprowadzić je do jedności wiary Kościoła powszechnego i przygotować do wypełnienia zakonu Chrystusowego, w nowem jego rozwinięciu. Nad tem cała praca Polski w związku z powszechną pracą chrześcijaństwa", bo, powiada: „czeka nas rola przeważna w Słowiańszczyźnie, w Europie. Starajmyż się do niej co prędzej i jak najlepiej sposobić. Nie przestając być Polakami, zajmujmy się i tem, co się dzieje u innych, rozszerzmy nasze widoki polityczne poza kraj". Bractwo to przeto ma „zająć się pilniej innymi ludami słowiańskimi".

Temi myślami i Semenenko, który wiernym był uczniem Jańskiego, był ożywiony, toteż w trzy lata potem, ucząc się już teologii w Rzymie, na przypomnienie, że „co miesiąc jeden dzień poświęcony być ma szczególniejszej modlitwie i miłosiernym uczynkom za Polskę", pisze do Jańskiego, że „możeby drugi za Moskwę wyznaczyć", i dodaje: „do tego nabożeństwa werbujcie wszystkich". List jego pisany w tym czasie (1838) do hr. Zdzisława Zamoyskiego, odpowiada w zupełności programowi Bractwa Służby Narodowej. Czytamy w nim: „Nie potrzebujemy i pisać, co za myśl główna nam przewodniczy. Miłość Boża przedewszystkiem, jako początek czynności, zasada i cel jedyny życia. Miłość też nasza ku Polsce znajoma jest Panu. Oprócz powodów wspólnych ze wszystkimi innymi Polakami, inne, świętsze ciągną nas ku temu pobudki. Od Polski zawisła, tak się podobało Opatrzności, wielkość Kościoła na Wschodzie; od jej bytu zależy zbawienie doczesne i wieczne tylu pokoleń słowiańskich. Nie chcemy tu rozwijać widzenia naszego względem powołania Polski. Te słów kilka wystarczy, by pokazać, że podwójnie kochamy Polskę".

On, Rusin, nie traci odtąd nigdy z przed oczu tej myśli przewodniej o zadaniu Polski wśród Słowian. W Rzymie zawiązuje ścisłą przyjaźń z Gogolem, z którym, jak pisze do Jańskiego, „często o Słowiańszczyźnie rozprawiali po rosyjsku". Pod wpływem tych rozmów zapewne Gogol „do katolicyzmu i Polski mocno się był wtedy skłaniał", jak pisze X. Kajsiewicz.

Zapytałem X. Semenenkę na rok mniej więcej przed jego śmiercią, czy się uważa za Rusina? „Tak—odpowiedział— ale mnie zachwyca historya Polski". Mówił o posłannictwie dziejowem Polski.

X. Semenenko nie miał sposobności w Rzymie pracować wprost dla idei słowiańskiej; ale ubocznie nie jedną oddał usługę, broniąc stanowiska w niej polskiego, które wciąż było i jest zaczepiane. Najprzód X. Martynow i X. Gagaryn, Jezuici Rosyanie, rozpoczęli byli akcyę w celu nawrócenia Rosyi. Byli oni gorącymi patryotami. Patryotyzm mógł ich zaślepiać; w nich to było zrozumiałem i naturalnem. Pragnąc gorąco dobra Rosyi, a widząc je w nawróceniu się jej do wiary katolickiej, poświęcali nieraz katolików polskich. Zdawało im się, że Polacy są przeszkodą do nawrócenia Rosyi, że Rosya, jeśli prześladuje katolicyzm, to dlatego tylko i o tyle, o ile Polacy nim się posługują w swej walce przeciwko niej. Ile to nam szkodziło tu w Rzymie, nie potrzebuję dodawać. Trzeba było przeciwko temu oddziaływać i X. Semenenko robił to spokojnie i skutecznie, bo miał w Rzymie zachowanie. Mickiewicz, pisząc r. 1838 do niego i do Kajsiewicza, powiadał: „Przyjdzie czas wołania, ale czekajcie, aż głos wasz nabierze mocy. Niech wprzódy przekonają się wszyscy o waszej szczerości, niech uwierzą, że Boga i Kościół macie szczególniej i przedewszystkiem na celu“. O tem w Rzymie co do X. Semenenki byli przekonani; mógł tedy oddawać tę usługę krajowi i oddawał.

Rzecz nie była łatwą, bo X. Martynow i X. Gagaryn byli w Rzymie słuchani i poważani. Ale byli to ludzie wyżsi, szlachetni. Nigdy oni nie dowodzili, że w Rosyi wszystko dobre tylko; owszem, wystawiali smutny stan jej i rozkład wewnętrzny; nigdy też nie występowali w pismach przeciwko Polakom niechętnie. Zdawało im się rzeczą niegodną rzucać obelgi na naród nieszczęśliwy, który tak ciężko jest prześladowany. Vae victis nie było ich hasłem. A nietylko byli szlachetni, ale byli rozumni. W końcu też przejrzeli. Oto co pisze X. Kalinka do X. Semenenki z Solesmes dnia 15 marca 1873 r.: „Wszedłem w bliższy, mogę powiedzieć bardzo dobry stosunek z Jezuitami rosyjskimi. Mieliśmy szczerą eksplikacyę: powiedziałem im, co mnie w nich raziło: że byli więcej Rosyanami, niż katolikami, że w propagandzie swej między rodakami więcej ufali swej zręczności, niżli sile prawdy, że schlebiali to rządowi, to opinii, poświęcając katolików polskich dla odległej nadziei nawrócenia Rosyi. Wszystko to O. Martynow przyjął bardzo dobrze i wyznał, że w nim zaszła wielka zmiana, że w Rzymie miał sposobność widzieć rzeczy z wysoka, że przekonał się, iż rząd rosyjski

nigdy się nie nawróci i o niczem innem nie myśli, jak o zupełnem zniszczeniu katolickiego Kościoła. Co do siebie, nie ma on już nadziei służyć drogą apostolską Rosyi i rzekł: „to wasza rzecz, was Polaków, nawrócić Rosyę“. O. Gagaryn podobnież, gdy się dowiedział, iż są między nami młodzi, co się rytowi wschodniemu oddają, oświadczył mi, że nam da wszystko, co w tej mierze posiada; sam bowiem już na tej drodze stracił nadzieję pracowania“. X. Martynow i X. Gagaryn tedy, gdy przejrzeli, szlachetnie uznali swój błąd i bardzo skutecznie w Rzymie ten błąd naprawili. Praca X. Martynowa o zamiarach rządu rosyjskiego zniszczenia Kościoła katolickiego przez wprowadzenie do nabożeństw języka rosyjskiego, zdecydowała ostatecznie Stolicę Apostolską do odrzucenia stanowczo propozycyj rosyjskich.

Akcyę, którą oni wkońcu uznali za fałszywą i szkodliwą, podjęli inni. Aby sobie zjednać Rosyę, schlebiają jej, podnoszą pod niebiosa. Chrześcijaństwo wschodnie przenoszą nad zachodnie, jak Maciejowski, i naturalnie napadają na Polaków. Czy to robią szczerze? Trudno przypuścić, bo są to ludzie rozumni, a patryotyzm ich zaślepiać nie może, bo nie są Rosyanami, nawet nie Słowianami. A że to są kapłani katoliccy, więc to robią w celu ujęcia Rosyan dla zbliżenia ich do Kościoła katolickiego. Ale dziwne to apostolstwo, oparte na schlebianiu mocniejszemu i szerzeniu nienawiści do uciemiężonych, na poświęcaniu katolików Polaków, aby nawrócić Rosyan! Czy się ich aby tem nawróci? Rosyanie, co się nawracają, nie mają niechęci do Polaków; owszem katolicyzm ich z nami łączy. Kiedy X. Charon wydał zeszłego roku książkę pod tytułem: „Le quinzième centenaire de St. Jean Chrysostome“, w której napadał na Polaków, świeżo nawrócony Rosyanin odpowiedział mu w Rzymie: „To, co powiedziano o Polakach, o ich stosunku do Rusinów i do Rosyan, nie odpowiada prawdzie według ludzi kompetentnych; a w każdym razie nie było rzeczą stosowną, dla dowiedzenia potrzeby rytu greckiego dla katolików w Rosyi przedstawiać tak niekorzystnie całą działalność katolicką bohaterskiego narodu polskiego. Nie wyjdzie to z pewnością na korzyść Unii, a posłużyć może tylko rządowi rosyjskiemu w jego zamiarach, tak mało chyba katolickich“. (*Rivista Storico-Critica delle Scienze teologiche*. Roma 1909, N. 3).

Cała działalność X. Semenenki znowu ograniczała się na

przeciwdziałaniu temu prądowi, posługującemu się kwestyą słowiańską. Ale tym razem inaczej on go oceniał. Nie miała ta akcya w jego oczach tej pewnej podniosłości, jaką miała dawniej w X. Martynowie i X. Gagarynie. Co o niej trzymał i o ludziach, którzy ją prowadzili, to wyraził w liście z dnia 18 kwietnia 1881 do X. Kalinki: „Znasz O. Tondini, Barnabitę, mieszkającego dzisiaj w Londynie, ale który długi czas mieszkał w Paryżu i zajmował się sprawą nawrócenia Rosyi za pomocą modlitw, a nawet w nadziejach i marzeniach swoich za pomocą misyonarzy. O. Tondini chce się zbliżyć do Rosyi i w tym celu przenieść się do Galicyi, myśląc, że tam będzie mógł coś skuteczniejszego na korzyść owej sprawy swojej uczynić. Był on u mnie tu w Rzymie, przed rokiem mniej więcej. Mieliśmy długą rozmowę, bo słów nie szczędził i chciał wyraźnie sprzedać wszystko, co miał z sobą. Pozostawił tedy po sobie wrażenie we mnie, któremu nie brakowało rozlicznych a dostatecznych żywiołów do utworzenia pewnej całości sądu. Oddałbym to wrażenie, nazywając jego rodzaj osoby jednym łacińskim wyrazem factor, w tem znaczeniu, że vult facere multum, chociaż może i z tym jeszcze dodatkiem: facere, ut faciat. Aby robić! aby robić! Opisuję go w ten sposób z potrzeby, bo muszę się z Tobą o nim porozumieć. Skutek tego wrażenia, jakie ze spotkania wyniosłem, jest w dzisiejszej chwili ten, że się raczej lękam wspólnictwa z nim, albo moralnej za niego odpowiedzialności w jakiejkolwiek pracy, aniżeli żebym miał stąd jakiego dobra się spodziewać“.

Z wpływem takich ludzi walczyć musiał X. Semenenko, by nie opanowali opinii kościelnej.

Tak tedy X. Semenenko przeciwnikiem idei słowiańskiej nigdy nie był, bo miał zawsze stale to przekonanie, że Polska w tej myśli czynny udział brać winna, inaczej myśl ta zostanie skrzywioną. Będą się nią posługiwać jedynie dla ujarzmienia Słowian, lub dla nabrania rozgłosu i zrobienia karyery ze szkodą dla Słowiańszczyzny.

Ks. Paweł Smolikowski C. R.

Z PRZESZŁOŚCI SŁOWIANOFILSTWA W POLSCE.

Revue Slave, ouvrage non périodique. Paris 1839. Wyszedł tylko numer I, 8 mała, str. 80. Redaktor Hieronim Napoleon Bońkowski[1]).

Podjął się on tego wydawnictwa z pomocą kilku przyjaciół, ażeby wykorzenić błędne pojęcia zagranicy o Słowianach i informować Europę w kwestyach słowiańskich. Nawet Francya — pisze we wstępie — w której koncentruje się ruch wolnościowy wogóle wszystkich narodów, ignoruje historyę narodów słowiańskich. Naszem więc zadaniem wywołać w Europie zainteresowanie dla świata słowiańskiego, otworzyć jej oczy na politykę względem nas, co może wpłynąć na państwa zaborcze, gnębiące ludy słowiańskie. Z drugiej strony pragniemy, by *Revue Slave* była organem uczonych i literatów słowiańskich, placówką ich myśli, życzeń i nadziei, miejscem dyskusyi naukowej i politycznej, gdyż w ten sposób pismo „ułatwi narodom słowiańskim środki porozumienia się, poznania swych sił i sił nieprzyjacielskich“. *Revue Slave* propaguje ideę, która dotychczas tliła w piersiach młodej generacyi słowiańskiej, głosi ideę wolności każdego z narodów słowiańskich, ideę chrześcijańską, wielką, cywilizacyjną — wbrew interesom cudzoziemskim, barbarzyństwa i despotyzmu. To wszystko pragniemy głosić wyraźnie.

Tak więc pismo głosiło ideę oswobodzenia ludów słowiańskich, obierając za punkt oparcia wydźwignioną i niepodległą Polskę.

Tę samą polityczną myśl podnosił i drugi artykuł o dążności słowiańskiej (la tendance slave)[2]), skierowanej przeciw despotyzmowi Austryi, Rosyi, Prus i Turcyi, a którą Francuzi stanowczo powinni popierać, gdyż „idea przymierza słowiańskiego w imię wolności i cywilizacyi nie przyniesie szkody żadnemu narodowi“.

Resztę zeszytu zapełniły dwa artykuły naukowe, jeden o dziejach Wandalów, udowadniający, że byli oni pochodzenia słowiańskiego; drugi, zatytułowany „Les langues des nations slaves“, mówił ogólnie o wszystkich ludach słowiańskich, o ich krajach, mitologii, języku, literaturze, historyi, podkreślając silnie budzenie się uczucia narodowego na każdem polu u wszystkich.

Bońkowski chciał zjednać dla pisma współpracowników na wszystkich ziemiach słowiańskich. Pisał w tym celu do Szafarzyka, do pioniera myśli narodowej wśród Chorwatów, Ludevita Gaja, z prośbą o zachęcenie swych rodaków do przysyłania redakcyi artykułów i książek, na zakupno których Bońkowski, jako prywatny nauczyciel, nie miał odpowiednich środków[3])

To także było powodem, że pismo na pierwszym zeszycie żywot skończyło. Emigranci nie mogli poprzeć funduszami, bo w przeważnej czę-

---

[1]) Estreicher w Bibliografii błędnie podaje za redaktora Bronikowskiego na podstawie inicyałów X. B., umieszczonych pod artykulem wstępnym, str. 6.

[2]) Str. 7—16.

[3]) List Bońkowskiego do Gaja, z dnia 12 grudnia 1839 mieści się w książce: Pisma pisana dru Ludevitu Gaju (1828—1850) wydał dr. Velimir Deželić. Zagrzeb. 1909, na str. 27.

ści byli biedni, nadto żyli w rozproszeniu, że trudno było rozszerzyć pismo między wszystkimi. Również w krajach słowiańskich nie mogło się rozszerzać, bo przecież kordony broniły dostępu każdej wolniejszej myśli i nie przepuszczały żadnej książki, zwłaszcza na emigracyi wydanej. Nawet w prasie ówczesnej polskiej głucho o dążności *Revue Slave*; z pism niemieckich *Gazeta Augsburska* przychylnie omówiła jego kierunek, zaznaczając, że pismo może mieć wpływ w interesie sprawy polskiej.

Sam Bońkowski pomieścił w jednem z poważniejszych pism emigracyjnych autoreferat [1]). Charakteryzuje on dosadnie cele i zamiary wydawców, dlatego podaję go (w skróceniu):

Naszem zdaniem zajmować się Słowiańszczyzną, jest to pod wielu względami służyć najkorzystniej naszej sprawie, a tem samem niweczyć plany carów, obliczone na zagładę wolności naszej i naszych pobratymców. A zatem zajmować się słowiaństwem i jego sprawami, jest to pod nową zupełnie postacią wpływać na obudzenie się Polski. Jawnym tego celem jest wspierać usiłowania Słowian zachodnich, którzy pod cisnącem jarzmem Austryi, Prus i Turcyi jęczą, a których chytry rząd moskiewski w widokach despotyzmu przynęcić usiłuje. Zasadnicza polityczna myśl wydawcy, to połączenie wszystkich plemion słowiańskich pod przewodem przywróconej Polski. *Revue Slave* może rozbierać główniejsze zadania polityki bieżącej na korzyść Słowian i w związku z naszą sprawą; nie pomijając rozpraw historycznych, literackich, religijnych, zwłaszcza w dzisiejszym stanie i statystycznych, słowem wszystkiego, co się tyczy tej wielkiej rodziny, a o której tu na zachodzie najmniejszego nie mają wyobrażenia. Albowiem kiedy wszystkie dzienniki dowodzą, iż tylko przez powstanie odzyskać mamy niepodległość naszej Ojczyzny, co jest także moją wiarą polityczną, róbmyż więc sobie zawczasu stronników, sojuszników, a takimi są niezawodnie Słowianie, nasi pobratymcy. Wspierać i zachęcać usiłowania narodowe Słowian, do których ich nasze powstanie popchnęło, gromić tych, którzy się poważą niweczyć ich zapał narodowy, jest to zdaniem naszem skarbić sobie na przyszłość ich przyjaźń, a gdy czas pomyślny nadejdzie, nawet i bratnie przymierze.

Edmund Kołodziejczyk.

Recenzye i sprawozdania.

Pisma pisana Dru Ludevitu Gaju i ńeki ńegovi sastavci (1828—1850) Sabrao i uvodom popratio Dr. Velimir Deželić. Gradja za povijest kńiževnosti hrvatske. Na svijet izdaje jugosl. Akademija znanosti i umjetnosti. Kniga 6. (Listy pisane do Dra Ludevita Gaja. Materyałów do historyi piśmiennictwa chorwackiego tom 6-ty, wyd. południowo-słowiańska Akademia). Zagreb 1909, w 8-ce, str. XLV, 371.

Niesposób omówić tu cały ten zbiór, obejmujący 333 listów, a sta-

[1]) *Trzeci Maj* 1840 str. 46.

nowiący walną część materyału do dziejów Chorwacyi owych lat. Ograniczę się do korespondencyi z Polakami i Czechami.

Z listów pisanych przez Polaków do Gaja szczególniej zaciekawić mogą pochodzące z gorących czasów lat 1847—1848, pamiętnych w dziejach Chorwacyi i „illiryzmu". Inne rzucają światło na ruchliwość i obecność Gaja we wszystkich sprawach, dotyczących ruchu bądźto oświatowego, bądź naukowego w krajach słowiańskich, na jego uczynność, otaczającą go sympatyę i poważanie. Tak np. ks. Jerzy Lubomirski prosi Gaja o radę i wskazówki przy wydawnictwie popularnych broszur i druków (wyd. bibl. Ossolińskich), Wacław Maciejowski (list z r. 1845) o ułatwienie mu kolportażu „Historyi Prawodawstw Słowiańskich", Hieronim Bońkowski (założyciel i redaktor *Revue Slave* w Paryżu w r. 1839) pisze do Gaja o powstaniu organu, poświęconego wiadomościom ze świata słowiańskiego z prośbą o bezinteresowne zaopatrzenie redakcyi w niezbędne książki i podręczniki, dotyczące Słowiańszczyzny i narzeka, że Francuzi „croyent, que tous les pays situés au delà du Rhin appartient à la race germanique, par concequent ils regardent vous autres Illyriens ou comme allemands ou comme italiens".

Atoli istotne nici łączności polsko-chorwackiej, a właściwie słowiańskiej i tętniącego żywego uczucia Polaków dla sprawy „illiryzmu" znajdujemy w dwóch innych listach.

„W gorącej żarliwości duszy mej powtarzam nieraz: niech wam Bóg błogosławi", pisze do Gaja Lelewel w liście z dnia 9 grudnia 1847 r.

W owym czasie na horyzoncie Chorwacyi ukazały się już ciężkie nadchodzące chmury niepokoju, z wieszczbą wichury i ognia.

Żywem odbiciem współczucia i współdziałania polskich serc z życiem i losami Chorwacyi i „illiryzmu" tchnie list Michała Czajkowskiego, pisany w czerwcu 1847 r. ze Stambułu, a więc w chwili powstania do walki, w roku tragicznej spuścizny; „zamiast wawrzynów, osty nienawiści" (pr. M. Zdziechowski „Odrodzenie Chorwacyi") niesie im ten zdradziecki rok tryumfu Meternicha. „Il desire — pisze Czajkowski z ramienia ks. Adama Czartoryskiego,— que sous vos auspices, Monsieur, et avec votre assistance la Pologne puisse prouver à ses frères Slaves, qu'elle est et sera toujours avec eux, là ou il s'agit et s'agira d'un slavisme libre et indepandant de toute influénce étrangère". I rzeczywiście spieszyli Polacy, aby nieść uciśnionym braciom pomoc, — fałsz i judaszowy pocałunek Austryi zwarzył i przyćmił promienną gwiazdę odkupienia i odrodzenia „illiryzmu".

Inne tło posiadają listy pisane przez Czechów do Gaja. Tu widać ów bezpośredni kontakt, jaki był pomiędzy ruchem naukowym chorwackim i czeskim. Gaj i jego drużyna „illiryzmu" bywali często w Pradze, studyowali tam i kształcili się. Stosunki zatem Gaja z przyjaciółmi i bojownikami nauki i sprawy słowiańskiej w Czechach polegają na bliższej, osobistej znajomości, mają charakter ciągły, nie zaś przypadkowy.

Przypatrzmy się bliżej tej korespondencyi. Najliczniejsze są listy Kollara i Szafarzyka. Listy Kollara świadczą, jaką nadzieję pokładał uczony w swym uczniu Gaju. W r. 1832 usprawiedliwia się, że wydawnictwo „Slavy Dcery" pochłania mu zbyt wiele czasu i nie pozwala na częste

komunikowanie się z Gajem. Dalej cieszy się wiadomością o zjawieniu się chorwackich czasopism i dodaje otuchy Gajowi: „Nur halten sie sich fest an das „trojjedine kralestwo“, denn zersplittert werden Sie kaum athmen und leben können!“ Kollar wie, że Gaj ma do zwalczenia wielkie trudności i dlatego przestrzega go, aby silnie stanął na swem stanowisku.

List ten pisany jest po niemiecku. Od r. 1834 korespondują każdy w swym języku i obiecują sobie nie używać odtąd niemczyzny. W tym czasie Gaj wydaje *Novine Horvatzke*, czemu Kollar serdecznie rad, żałuje tylko, że pismo nie posiłkuje się pisownią czeską. Korespondencya z Kollarem trwa do r. 1842, w którym to roku było odsłonięcie pomnika na Grobnickiem polu. Kollar nie mogąc sam przyjechać na uroczystość, śle do Gaja wyrazy radości i swój „grosz“ ofiarny.

Rozpatrzmy z kolei listy, pisane przez Szafarzyka. W pierwszym liście z r. 1831 dziękuje on Gajowi za pracę nadesłaną do Historyi słowiańskiej literatury i broni autorów, którym Gaj ostro wytykał klerykalizm. Tłomaczy on ich warunkami i robi przypuszczenie, że takie stanowisko, kto wie, czy nie pomyślnie wpłynęło na sprawę narodową Chorwacyi, na jej uświadomienie i odrębność. Wogóle w liście tym widać powagę Szafarzyka, jako uczonego męża, ogarniającego kwestyę słowiańską głęboko i z wielką znajomością rzeczy. Zwraca on uwagę na ubogą literaturę naukową, dotyczącą ludów południowo-słowiańskich; wskazuje, że przed młodzieżą leży ogromne pole zadań i obowiązków, że winni oni solidarnie (Chorwaci, Serbowie, Bułgarzy i Słowieńcy) pracować na niwie ojczystej. Tu skarży się na małe zainteresowanie się własną sprawą, czego dowodem tak mała ilość sprzedanych egzemplarzy „Starożytności“.

W tymże roku pisze Szafarzyk do Gaja w kwestyach językowych i prosi o nadesłanie mu informacyi o niektórych rzadszych książkach i o kilka chorwackich pieśni ludowych.

Pierwsze silniejsze wystąpienia Gaja wita Szafarzyk w r. 1835. Cieszy się, że dla Chorwacyi zaczyna świtać nowa era, że Gaj skupia koło siebie Słowian i powołuje „illiryzm“ do życia, a w roku 1839 pisze: „Radim Vám abyste se stim krajnským vrahem všeho Slovanstva do žádných rozepři a hádek ne pouštěl. Pokračujte, přiteli, v dile svatém a čistém cestou zakonnou...“ (prawdopodobnie mowa o Kopitarze).

Ostatni list Szafarzyka pochodzi z 1848 r. Tu wzywa Chorwatów, aby stawili się na zjazd do Pragi i zaznacza ważność chwili. Dalej zawiadamia, że do Chorwacyi zostali wydelegowani Erben, asystent Muzeum czeskiego i Lambel, miłośnik języka i literatury illiryjskiej i prosi, żeby Gaj zaopiekował się nimi, jako pośrednikami przyjacielskiego zbliżenia się dwóch pokrewnych narodów, Chorwatów i Czechów i żeby podczas pobytu swego posyłali prawdziwe wiadomości o narodowych sprawach Chorwacyi, a z drugiej strony dawali również im informacye o sprawach czeskich.

Obok nazwisk Kollara i Szafarzyka, widzimy w zbiorze cały szereg czeskich druhów, korespondujących z Gajem jak: Palackiego, Čelakowskiego, Glazera, Hankę i innych.

W. R. Wegnerowicz.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Posłuchajmy, co mówią **Litwini** w odpowiedzi na zarzuty prasy polskiej. *Viltis* Nr. 51. 52. 1910 r. w odpowiedzi na głos K. Skirmuntówny, nawołujący do zgody (*Kurjer Litewski*, *Viltis*), pisze w ten sposób:

„Dzieje zjednoczyły Litwinów z Polakami, wytworzyły polsko-litewską kulturę, której wyrzeczenie się byłoby ciężkim ciosem dla odradzającej się Litwy. Z tą tezą — naszem zdaniem — z pewnem zastrzeżeniem zgodzi się każdy Litwin. Prawdą jest, że historyczne współżycie Litwy z Polską wycisnęło wiele znamion na kulturze litewskiej, lecz nie trzeba ignorować i tej prawdy, że dzięki temu współżyciu naród litewski bardzo wiele ucierpiał: utracił stan szlachecki, stracił samodzielność polityczną. Mierząc miarą dzisiejszego Litwina, tu przynajmniej trzeba postawić minus.

„Kraszewskiego, Mickiewicza, Narbutta i wielu innych przedstawicieli kultury szlacheckiej Litwini oczywiście się nie wyrzekną już dlatego, że ich imion nie będą mogli wymazać z historyi swojej. Czyż dzieła tych mężów nie budziły, nie budzą ze snu narodowego ducha Litwy?! Nikt tak pięknie nie wyśpiewał przeszłości Litwy, jak Mickiewicz w „Konradzie Wallenrodzie“, w „Grażynie“.

„Lecz utwory tych mężów dostępne są tylko dla inteligencyi. Największe pragnienie Mickiewicza, aby jego dzieła, jego pieśni, zawędrowały pod strzechę wieśniaczą, nie spełniło się, niestety. Chłopi Litwini nie rozumieją po polsku, większość zaś spolszczonych „kmieciów“ czytać nie umie. Dostępu do chaty spolszczonego kmiecia bronią wnukowie ongi sławnej szlachty litewskiej, którzy rozmyślnie ignorują dzieła Mickiewicza, rozrzucając między lud Sienkiewicza „Krzyżaków i „Trylogię“.

„Nie! Litwini nie wyrzekną się Mickiewicza, Syrokomli, Narbutta! Atoli szlachta litewska czy się nie zaparła tych mężów? Gdyby się nie zaparła, zrozumiałaby to, co największy pieśniarz Litwy głosił, odczułaby jego geniusz i sprzyjałaby szczerze odrodzeniu Litwy... Nie my, Litwini, lecz szlachta nie umie „pogodzić przeszłości Litwy z jej teraźniejszością“.

„Lud litewski budzi się, uświadamia sobie, kim jest. A nasza szlachta? Jeszcze nie wie, kim jest! W Warszawie, wśród Polaków, uważa się za za Litwinów; na Litwie, wśród Litwinów — za Polaków. Gdzież więc ta „praca kulturalna“ szlachty na Litwie?

„Pierwsze przejawy naszego odrodzenia (okres *Auszry* 1883—1886) tłumiła właśnie ta szlachta nasza, nastrajając na nutę lituanofobii całą prasę polską. Daremnie szukaliśmy wówczas szczerych przyjaciół w narodzie polskim — daremnie! Nie było ich, a jeżli i byli, to czemu milczeli, kiedy bratni naród wyrządzał nam krzywdę wielką?...

„Wywalczyliśmy prawo druku (1904). Prasa polska, społeczeństwo polskie nie umiało, nie chciało się zdobyć na wyraz współczucia dla nas. Przeciwnie, jeszcze więcej nas wyśmiewano i posądzano i w prasie, i w społeczeństwie polskiem!...

„Zaczęliśmy się domagać słusznego prawa języka litewskiego w ko-

ściele. Prasa poska obwiniła nas o zdrożne, niemal anarchistyczne tendencye, z góry usprawiedliwiając prowokacyjną politykę Polaków litewskich („endeków“), całą zaś odpowiedzialność za sprowokowane awantury zwalając tylko na nas.

„Podczas wyborów do I. Dumy chcieliśmy iść ręka w rękę ze szlachtą. Atoli szlachta, stanowiąca znikomy procent całej ludności Litwy, domagała się dla siebie aż nazbyt wielkiej liczby mandatów!

„Czy jeszcze za mało przykładów?

„Wziąwszy to wszystko pod rozwagę, czy można się żalić na nas, Litwinów, za to, że nie jesteśmy „stronnikami Unii“?

„Niech dobra wola w kierunku zgody, w kierunku zesunięcia powodów do nieporozumień ożywia nietylko naszą, lecz i polską prasę, a niezawodnie prędzej, niżli się zdawać może, osiągniemy pożądane dla Litwy i Polski porozumienie.

„Litwini już oddawna pragną „modum vivendi“ z Polakami, atoli spolszczona szlachta, ochłonąwszy z „paniki rewolucyjnej“, umilkła i tak samo, jak dawniej, nas ignoruje, nami pomiata.

„Nie nasza to wina, jeżeli wyraziciele polskiej opinii nie poczuwają się do obowiązku przeprowadzenia sumiennej rewizyi polsko-litewskiego nieporozumienia, jeżeli taktyką milczenia sankcyonują nawet błędy Polaków w stosunku do Litwy“...

J. A. Herbaczewski.

Ciekawe to zaiste, jak Litwini są niedokładnie poinformowani o stanie rzeczy. O zniesienie zakazu druków litewskich łacińskim alfabetem starali się Polacy wraz z Litwinami, a zniesienie powitano w Polsce z radością stawiającą miłość sprawy litewskiej na równi z polską. Jest na to dowodów bez liku; nie wiedzieć o tem mogą tylko ludzie niedbający o ścisłość informacyj. O stanowisku prasy polskiej względem Litwy wydano in aeternam rei memoriam w Warszawie w r. 1905 zbiór artykułów p. t. „Kwestva litewska w prasie polskiej“ (zob nasz zeszyt z września 1906, str. 225). Czyżby ani tego nawet nie znano? *K.*

Związku „borb“ **ruskich** z polityką pruską domyślano się od dawna. Faktem jest, że na podstawie rozmaitych oznak z Berlina nauczono się przepowiadać „borby“ we Lwowie i przewidywania spełniały się. Rewelacye Rakowskiego o relacyach innych szpiegów dostarczyły materyalnego punktu zaczepienia, ale nikt nie dojdzie, w jaki sposób pomięszane w nich kłamstwo z prawdą. Jest to stałą cechą wszelkich relacyj szpiegowskich. Szpieg chce się jak najbardziej obłowić, a że niemożebne są bezpośrednie stosunki pomiędzy całą jego klientelą a władzą, której służy, postępuje więc, jak kucharka z koszyczkowem, pobierając je sobie tylko w stosunku wyższym. Przekupując pięciu, zapisze dziesięciu i za pięciu schowa cenę kupna do własnej kieszeni. Może na listę swych „mężów zaufania“ wciągnąć osoby (lub stowarzyszenia) nieistniejące — a może nawet zapisać osobę istniejącą, której się nawet nie przyśniło pozostawać na żołdzie obcego państwa. „Zdradzając“ zaś (własną zdradę), może załatwiać zapomocą „rewelacyj“ własne rachunki z ludźmi sobie osobiście niemiłymi. Zdarza się nawet, że relacye szpiegowskie bywają całkowicie wyssane z palca.

Stopień autentyczności dokumentów ogłaszanych przez *Kuryer Warszawski*, nie stanowi w naszem życiu publicznem czynnika, bo chodzi o rzecz, o której istnieniu byliśmy dawno przeświadczeni i z którą liczyliśmy się. Ma to znaczenie tylko dla innych Słowian, którzy będą bogatsi o jedno doświadczenie, gdy Rusinów poznają bliżej. Naszą rzeczą jest zdawać sobie sprawę, że nie wszyscy przecież Rusini byli na żołdzie pruskim i że nie wszystkie objawy z ich stosunku do Polaków można tłumaczyć „wędrowną marką“. Wystarcza, gdy największe hałasy i najgrubsze skandale były wynikiem przekupstwa. Dla wielu Rusinów przykrem będzie zapewne wspomnienie, że z obawy przed niepopularnością solidaryzowali się z najwstrętniejszemi objawami zdziczenia i nieprzekupywani szli naiwnie w ślady przekupstwa. Może dokumenty Rakowskiego wpłyną na zwiększenie się odwagi cywilnej wśród ruskich rozsądniejszych publicystów, którzy ze strachu, żeby im nie zarzucono braku patryotyzmu, nie śmieli potępić ani Krattera, ani Siczyńskiego. Będą teraz może ostrożniejsi, żeby nie być — jak bywali dotychczas — manekinami w ręku płatnych prowokatorów.

Rusłan zamieścił w nrze 123 z 16 czerwca artykuł wstępny p. t. „Bankrotstwo nowosławizmu“ wielce zajmujący tem, że określa ruskie zapatrywania na tę fazę słowianofilstwa: „Sprawa była od samego początku spaczona, oparta na zupełnej nieszczerości, na dzieleniu narodów słowiańskich na zwierzchnicze, uprzywilejowane i podwładne, mniej cenne, pomijane; toteż można było na samym początku tej akcyi przewidywać, że ten neoslawizm nie jest niczem innem, jak pomalowanym na nowo dawnym panslawizmem, który miał podtrzymać poderwane stanowisko i zwierzchnictwo Rosyi i dawnego słowianofilstwa wśród narodów słowiańskich ze szkodą ich samodzielnego rozwoju narodowego i kulturalnego“, a przedewszystkiem narodu ruskiego. Chodziło tu o „zjednanie Polaków dla rosyjskiej idei państwowej, a w końcu o wprzężenie Słowian zachodnio-austryackich do imperyalistycznego (wełykoderżawnoho) wozu rosyjskiego“.

Kijowska *Rada* stwierdza, że neoslawizm zbankrutował na kwestyi ukraińskiej, jako „dla wszystkich próbnej“.

Z powodu udziału kilku gości słowiańskich w stanisławowskim zjeździe Siczy, ogłosił też *Rusłan* w Nrze 113 artykuł wstępny p. t. „Na sławianskim koniku“. Zestawiając Dr. Trylowskiego, z zastrzeżeniem: si parva magnis comparere licet, z Dr. Kramářem, wyłuszcza, jak bankrutując politycznie, tracąc grunt pod nogami nawet w Kołomyji, chciałby podnieść swe znaczenie na jakiemś tle ogólniejszem. Już mu się przestało opłacać „pokazywanie wyborcom złotych gruszek na suchej wierzbie“, a więc postanowił, choć na małą skalę pójść za przykładem przywódcy młodoczechów. Mieli więc zjechać do Stanisławowa posłowie czescy, spodziewano się burmistrza Lublany, Hribara; ale bali się demonstrancyj antyrosyjskich. Dr. Trylowski przykazał więc, żeby nie drażnić niczem rusofilskich uczuć spodziewanych gości — ale i tak nie przyjechali. Przybyło tylko — jak wiadomo — kilku fachowców, na oglądanie odmiennego rodzaju sportu gimnastycznego i ataman Trylowski „nie pokrzepił swego stanowiska politycznego i parlamentarnego“.

W krytyce **czeskiej** rozbudza się już od pewnego czasu reakcya przeciw prof. Masarykowi. W ostatnim czasie skupił się ten prąd około osoby Dra Chalupnego, który ogłasza w kilku numerach *Přehledu* szereg artykułów polemicznych. W przypisku do jednego z nich znajdujemy wiadomość o liście, otrzymanym „od wybitnego współpracownika pism realistycznych“, który pisze:

„Artykuł Pański zjawił się w porę; niestety, jest zbyt oględny i za krótki, żeby objąć całe bałwochwalstwo co do Masaryka. Temu szaleństwu trzeba stawić tamę. Niebawem nie mogłaby się zrodzić w Czechach i na Morawach żadna myśl, żeby nie wołano przy głośnem hozanna! że promieniuje ona z głowy Masaryka Wielkiego... Zwalcie bałwana! Znam prof. Masaryka dawno i mogę powiedzieć, że wszystko, co się na nim tak wychwala i „gest jego rąk i ton jego mowy“ (alluzya do uroczystości jubileuszowej Masaryka 7 marca 1910 i wygłoszonej wtenczas mowy Herbena) jest szczęśliwą imitacyą wiedeńskiego profesora Brentano, a podobnież i wiele jego myśli. Uważam go wogóle za tłumacza myśli poczętych gdzieindziej, któremu udało się wychować na naszym gruncie to, co znalazł gdzieindziej. Tej zasługi mu nie odmawiam, ale nie widzę w tem wielkości“.

Projekt, żeby przygotować przyszły uniwersytet słowieński przez tymczasowe docentury przy uniwersytecie praskim, ewentualnie i przy krakowskim, zrodził wśród Czechów obawę, że mogłaby Praga być pominiętą, a miły ten obowiązek oddanoby do spełnienia tylko Krakowowi. Chodzi tu nietylko o zaszczyt i stanowisko słowiańskie Pragi. Zachodzą inne jeszcze względy, które wyjaśnia *Den* w następnym wywodzie (Nr. 142):

„Między Polakami przyjmuje się myśl austroslawizmu na tle katolickiem, a Słowieńcy, jak sądzimy, pierwsi okazaliby się jak najczulszymi na te ponęty. Pomysł, że docenturę słowieńską możnaby urządzić tylko w Krakowie, pomijając Pragę, wywołuje u nas przypuszczenie możliwego niebezpieczeństwa katolickiego austroslawizmu, którego powstanie, rozwój, a może i zwycięstwo sprowadziłyby na sprawę czeską niezmierne szkody kulturalne i polityczne. O tem należy pamiętać przy pytaniu: Praga, czy Kraków“?

Dowodem takich, a nie innych tendencyj krakowskich ma być także artykuł *Swiata Słowiańskiego* z marca rb. „Rosya a Polska wobec Słowiańszczyzny“.

Brak miejsca nie pozwala nam rozwodzić się o tej sprawie; trzebaby zresztą nie artykułu, ale może sporej ksiażki, żeby Czechom wytłumaczyć, o co tu chodziło i chodzi. Musimy poprzestać na ponownem stwierdzeniu dwóch faktów: że czeski zmysł praktyczny kończy się tam, gdzie się zaczyna polityka — i że przeciętny Czech bardziej od ojczyzny, kocha tani liberalizm.

W artykule p. t. „Nacionalism v ruské dumě“ (Nr. 163) potępiły *Narodni Listy* z całą stanowczością antypolskie ustawy w sprawach samorządu ziemskiego i miejskiego. Czytamy tam między innemi: „Żeby można było odłożyć samorząd w miastach polskich, wymyślono znane iunctim z wyłączeniem Chełmszczyzny z Królestwa polskiego, przez co rzucono nowe jabłko niezgody pomiędzy nacyonalistów rosyjskich

a Polaków. Odmówiono następnie trzem północno-zachodnim guberniom samorządu ziemskiego dlatego, że żywioł rosyjski reprezentowany jest w tych guberniach tak słabo, że ani nawet najsztuczniejszą ordynacyą wyborczą nie dałoby się osięgnąć, żeby Rosyanie mieli w tych ziemstwach przewagę". Opisawszy następnie sztuczki, jakich się chwycono na ziemstwa „południowo-zachodnie", piszą *Nar. Listy*: „Świadczy to zaiste o skromności Polaków z zachodniej Rosyi, gdy się czyta w gazecie polskiej, że nawet tak sztucznie zestawione ziemstwa będą bądźcobądź korporacyami samorządnemi, które mogą zdziałać wiele dobrego dla kulturalnego rozwoju kraju. A ponieważ najkulturalniejszym żywiołem w guberniach zachodnich są Polacy, nastręczy się im teraz sposobność nawet przy nieznacznej reprezentacyi do prawdziwej pracy kulturalnej". Następnie jest mowa o Finlandyi i nakoniec o sprawie chełmskiej. Obiegały wtenczas (15 czerwca) pogłoski, że rząd wycofa ten projekt pomimo wszystko. „Byłoby to zaiste — piszą *Nar. Listy* na końcu tegoż artykułu — najszczęśliwszem rozwiązaniem tej sprawy, która niepotrzebnie napsuła już tyle krwi w obydwóch największych narodach słowiańskich".

Den oświadczył w Nrze 141, że Czesi nie mogliby towarzyszyć Słowieńcom, gdyby się chwycili obstrukcyi przeciw włoskiemu wydziałowi prawniczemu. Włochom należy się uniwersytet tak samo, jak należy się Słowieńcom i Czechom (drugi uniwersytet). „Delegacya czeska nie opuści oczywiście Słowieńców w ich walce narodowej; ale nie możemy wystąpić stanowczo przeciw uniwersytetowi włoskiemu, bobyśmy przez to stawali i przeciw czeskiemu na Morawach. Żeby przemóc opór słowieński, to już oczywiście nie jest rzeczą delegacyi czeskiej; niech sobie to robi sam bar. Bienerth. Posłowie czescy będą stali w jednym szeregu ze słowieńskimi w sprawie ich żądań kulturalnych".

Co się działo na **Słowaczyźnie** podczas wyborów, to urąga najprymitywniejszym pojęciom o swobodzie głosowania. Nie krępowano się żadnemi choćby pozorami! Pisały o tem już obszernie nasze pisma codzienne, jak doszło do tego, że Słowacy będą mieli w nowym parlamencie tylko trzech posłów. Są to: Dr. Paweł Blaho, ks. Ferdiš Juriga i Ferko Skyčak.

Pamiętny jest dzień 27 października 1907, dzień rzezi w Czernowej, kiedyto lud nie dopuścił do poświęcenia kościoła przez księży madiaronów, nasłanych w towarzystwie żandarmów przeciw ulubionemu księdzu Andrzejowi Hlince. Sprawcą moralnym rzezi był biskup Parvy. Czasy się zmieniają. Obecnie czytamy w *Slovenskych Ludovych Novinach* zaproszenie na poświęcenie tegoż kościoła w dniu 29 czerwca, podpisane przez proboszcza rużomberskiego, tegoż ks. Hlinkę, który zawiadamia „dokonanie tego uroczystego poświęcenia poruczył mi najdostojniejszy mój biskup, JWny Dr. Aleksander Parvy". Na drugi dzień, 30 czerwca, odbędzie się solenne nabożeństwo żałobne.

Napadł na ks. Hlinkę, który był przedtem proboszczem w Sliačach, obecny pleban tamtejszy, ks. Albin Maxian, madiaron. W *Kresťanie* pojawiły się istne pamflety. Ma słuszność Ks. Hlinka, że odpowiada

w *Ludovych Novinach* ze stanowczością taką, iż nie obwijając niczego w bawełnę, z oskarżonego stał się oskarżycielem.

Stary Svetozar Hurban odbywa jeszcze dalej swój rozwój wsteczny. Do jakich już doszedł przekonań, wskazuje następujący ustęp z jego *Narodnich Novin*:

„Wykształcenie może też stanowić słabą stronę narodu. Ludzie wykształceni, zwłaszcza obecnie, gdy ich jest zbyt wielu (na Słowaczyźnie?!!), wysługują się zazwyczaj innym narodom, cudzym interesom, opuszczając własny naród. Dla naszego narodu o wiele więcej ma wartości wykształcony mąż-rolnik, obrabiający swój grunt, płodzący tęgich synów i zdrowe córy, niż najzdolniejszy człowiek, wysługujący się obczyźnie, cudzemu kapitałowi, obcym interesom".

Ależ skąd wziąć wykształconych „mężów-rolników", jeżeli ich nie wykształcą ci, którzy sami nie chodzą za pługiem, księża, prawnicy, literaci? Część inteligencyi słowackiej madiaryzuje się, to prawda; ale gdyby nie druga jej część, patryotyczna, madiaryzowałby się ów „mąż-rolnik!"

Slovenský Dennik (Nr. 74) nawiązując do pewnych przewidywań, że Bośna mogłaby się stać „Piemontem" tryalizmu, oświadcza się zasadniczo przeciw niemu: „Gdyby kwestyę jugo-słowiańską rozwiązano przez zaprowadzenie tryalizmu, oznaczałoby to zastój w rozwiązywaniu reszty kwestyi narodowościowych i prawnopaństwowych w Austryi i na Węgrzech. Niemcy domagaliby się w zamian za tryalizm wolnej ręki wobec Czechów, a Polacy wobec Rusinów [1]), Madiarzy zaś wobec niemadiarskich narodów. Tryalizm dałby nam zamiast rozwiązania naszych problemów narodowych nowe komplikacye. Praktyczna różnica pomiędzy dualizmem a tryalizmem polegałaby tylko na tem, że monarcha opierałby się się potem już nie na niezadowolonych Niemcach i na Madiarach, ale na obłaskawionych Niemcach i obłaskawionych Madiarach i na pozyskanych a zadowolonych Słowianach południowych".

Mowa posła Korošca w Radzie państwa poruszyła opinię w sprawie **Słowieńców** na Węgrzech, których jest tam około 70.000 wzdłuż granicy austryackiej. Nie mają ani jednej szkoły. Księdza mieli przed trzema laty przynajmniej jednego, Chorwata, ale go przeniesiono. Są zupełnie opuszczeni. Dla Chorwatów w Medjumurju wychodzi w Warażdynie czasopismo *Naše Pravice*, ale Słowieńcy węgierscy nie dostają żadnej strawy narodowej.

Slovenec umieścił w Nrze 137 z 20 czerwca artykuł wstępny p. t. Čisto odkrito, bardzo znamienny. Zaczyna się od wytknięcia Drowi Kramařowi, że jego „nieszczęsna taktyka" usunęła czeskich ministrów dnia 13 listopada 1908 z gabinetu i położyła podwaliny pod obecny system. Dla zorganizowania opozycyi rzucił Dr. Šusteršič dnia 10 lutego 1909 myśl słowiańskiej „Jednoty" w parlamencie. Niemcy ofiarowali Jugosłowianom ustanowienie dla nich „ministra-rodaka", byle zerwali z Czechami, ale Słowieńcy nie dali się przekupić i spełniali święcie wszelkie obowiązki względem sprzymierzonych Czechów. Przeprowadzono prowizoryczną re-

[1]) Na czem polega prześladowanie Rusinów, w czem dzieje im się krzywda, tego *Slovensky Dennik* nie napisze oczywiście nigdy.

formę regulaminu Izby i doczekano się, że z powodu reformy finansowej rządowi zależy na głosach „Jednoty". W tem położeniu wstępuje na porządek dzienny sprawa wydziałów prawniczych, włoskiego i słowieńskiego. W walce o zawiązek narodowego uniwersytetu zależy Słowieńcom tembardziej na Czechach, że „na Polakach i tak nie możemy budować swych nadziei"[1]). Ale Czesi, tak rozpływający się w solidarności słowiańskiej na zjazdach i bankietach, teraz nagle chowają miecz do pochwy, jakby nie rozumieli, że jeżeli Słowieńcy nie zdobędą swego wydziału teraz, równocześnie z Włochami, postulat ich może być odłożony „do świętego Nigdy". Czesi poczynają „mędrkować", że odrzucenie fakultetu włoskiego wzmocniłoby jeszcze bardziej pozycyę Niemców — a wreszcie, że nie mogą sobie zrażać posłów włoskich i rumuńskich, bo bez ich głosów niemożliwy jest drugi uniwersytet czeski na Morawach. Na to wszystko powiada *Slovenec*: „Difficile est satyram non scribere", bo wobec tego neoslawizm, to „fata morgana".

I *Slovenski Narod* stwierdza w Nrze 137, że przy tej sprawie „zerwała się faktycznie wzajemność słowiańska".

Zapisać warto, że przeciw Włochom wystąpiła *Danzers Armee Zeitung*, robiąc im wyrzuty, że uciskają Słowieńców w Rezyi i Francuzów w Sabaudyi (20 maja 1909 zniesiono francuskie urzędowanie w gminach mniejszości francuskiej). Włoski fakultet w Tryeście stałby się gniazdem irredenty, do której rząd powinien się zabrać energicznie, za przykładem angielskim. Gdy na jakimś zjeździe w Syrakuzach w r. 1902 włoscy studenci z Malty zabawiali się w irredentyzm, lord Chamberlain rozwiązał w tej chwili autonomiczną Radę wyspy, zaprowadził w szkołach wykłady po angielsku i wyparł z urzędów ostatnie ślady języka włoskiego.

Chorwacki uczestnik 10-letniego jubileuszu Siczy, urządzonego w Stanisławowie, głowa chorwackich Sokołów, Lazar Car, zdaje sprawę ze swej podróży w fejletonie Nru 154 *Obzora*:

„Organizacya Siczy jest podobna do naszych Sokołów. Nazwa ich pochodzi od historycznej kozackiej Siczy, która była niegdyś wojskową republiką ukraińską. Małorosyanie, czyli, jak sami wolą się nazywać, Ukraińcy, przerabiają obecnie z pomocą Siczy pierwiastki dawnego ukraińskiego kozactwa na rzecz odrodzenia narodu ukraińskiego"

Na kongresie śpiewano hymny Słowieńców, Czechów i „Małorusów". Na wstędze, „trobojnicy", zawieszonej na sztandarze kołomyjskie Siczy, widniał napis: Hrvatski Sokolski Savez — Savezu rusinskih Siča". O stosunkach ruskich w Galicyi pisze autor fejletonu: „W Galicyi mają szkoły ludowe i średnie. We Lwowie są na uniwersytecie katedry ruskie, a teraz właśnie pracuje się około własnego uniwersytetu. W urzędach publicznych urzęduje się w ich języku (gdzie mają większość)" — o 12 wierszy zaś niżej wiadomość, że muszą się bronić przeciw rusyfikacyi, romanizacyi, madiaryzacyi, germanizacyi i polonizacyi. Sic!

Sejm chorwacki zezwolił na ściganie sądowe posła St. Radića w czterech procesach prasowych. Dwa z nich odłożono na życzenie cho-

---

[1]) Koło polskie ma tedy już wyrobioną opinię.

rego powoda Dra Josipa Franka, który czuł się obrażonym dwoma artykułami w *Domu* (jeden z nich miał tytuł: „Polityka żydowska“); trzecią odroczył sąd, bo pozwany zacytował nowych świadków na niewłaściwe postępowanie żandarmów. Tematem czwartego były szykany pocztowe przy ekspedycyi *Domu*. Sprawa wlecze się od dwóch lat. Rozprawa sądowa wykazała sporo nieporządków na „królewskich węgierskich pocztach“ w Chorwacyi, ale swoją drogą skazano redaktora za obrazę poczty, jako instytucyi publicznej, na 14 dni aresztu, zamienionego na grzywnę 70 K. Skazany wniósł zażalenie nieważności.

Komitet wykonawczy koalicyi serbo-chorwackiej zastanawiał się na kilku posiedzeniach nad pytaniem, jakie stanowisko ma zająć delegacya chorwacka w parlamencie budzyńskim wobec rządu hr. Khuena-Hedervaryego. Będzie się głosowało za t. zw. „koniecznościami państwowemi“, ale wyrażono opinię, że należy starać się za pośrednictwem chorwackiego rządu o porozumienie w sprawach tyczących sporu chorwacko-węgierskiego. Minął bowiem już termin umowy zawartej między koalicyą a rządem węgierskim co do sejmu chorwackiego, a sejm wykonał sumiennie swe zadanie; trzeba więc umowy nowej, a stosownie do niej zachowa się delegacya chorwacka w Budzyniu.

Wybitny poeta chorwacki, Dr. Ante Trešić-Pavičić, poświęcający się także polityce, poseł na sejm dalmacki i do parlamentu wiedeńskiego, miał dnia 4 czerwca w Pradze znamienny wielce odczyt o „drogach i zadaniach chorwackiej polityki narodowej“.

Prelegent uważa stan pewnego narodu słusznie za wynik rozmaitych sił socyologicznych, ekonomicznych itd., działających w przeszłości. Czy Chorwaci mogli osięgnąć lepsze wyniki, o tem możnaby sąd wydać tylko natenczas, gdyby się znało związki przyczynowe tych sił. Ale Chorwaci, chociaż prac historycznych jest dużo, nie posiadają jeszcze takiego obrazu swych dziejów, któryby dawał psychologiczne wyjaśnienie czasów i wskazywał pewne prawidła w rozwoju narodu. Brak psychologa, któryby zdołał przemówić z duszy narodu chorwackiego i serbskiego.

Położenie geograficzne szczęśliwe jest co do przyrodzenia swego, fatalne jednak pod względem politycznym, bo naród drobny znalazł się wśród większych na rozgraniczu Zachodu i Wschodu, musiał znosić najazdy tatarskie, tureckie, weneckie i jest dotychczas narażony na ataki niemieckie i madiarskie. Tem gorzej, gdy tak łatwo przechyla się do cudzoziemszczyzny — na równi z innymi Słowianami. Znać to na królu Zwonimirze który sprowadzał osadników włoskich i wprowadził kulturę włoską; znać na wielu władcach czeskich, polskich i rosyjskich, zwłaszcza na Piotrze W., powołujących Niemców do swych państw. Brak oporności wobec cudzoziemszczyzny jest u Serbochorwatów zatrważający, przechodzi aż w assymilacyę, jak np. w Tryeście, Zadarze itp. W Suboticy na Węgrzech Chorwat nie nazwie się nawet Chorwatem.

Naród dzielny na polu walki orężnej, niesprawny jest do walki ekonomicznej. Chorwat nadto lubi wygodę; pracuje tyle, ile musi, żeby wyżyć, nie dbając nawet o potomstwo; o dalszą przyszłość nie troszczy się. W Slawonii chłop obrabia ziemi tyle, ile trzeba koniecznie na jego własne utrzymanie, a resztę sprzedaje Niemcom i Madiarom.

Ciężkim błędem Chorwatów jest dogmatyzm, głęboko w nich zakorzeniony. Taki np. Ante Starčević, wielki patryota, sprowadził swym dogmatyzmem same niepowodzenia na całych 30 lat. Stronnictwo, nie mogące wykazać rezultatów korzystnych, musi się przeżyć. Zapomniał przy tem Starčević, że Chorwaci stanowią tylko połowę narodu, a Serbowie byli przeciw niemu.

Programy stronnictw są sprawą drugorzędną, nie zbawią narodu (nie wyłuszczał ich też mowca).

Nie we wszystkiem jednak Chorwaci sami sobie winni. Z zewnątrz szły na nich i idą wciąż krzywdy. Ciemięży się ich systematycznie na polu ekonomicznem, np. sławna sprawa kolei dalmackich, brak połączenia Zagrzebia z Bośną, Serbii z morzem. Zabija się przemysł w zarodku, a przecież położenie Dalmacyi jest tego rodzaju, że mogłaby przewyższyć Norwegię, a nawet Belgię. Południowi Słowianie stoją wysoko w literaturze i sztuce, ale bardzo nisko pod względem ekonomicznym.

W zakresie polityki nie osiągnięto w sejmie dalmackim nic od czasów rezolucyi rjeckiej, która zdaniem prelegenta miała zmysł praktyczny. W parlamencie zaś wiedeńskim może być mowa tylko o polityce słowiańskiej wogóle. Tu zaś każdy rząd ma zapewnioną większość polsko-niemiecką, a skutki tego są opłakane niemniej, jak zwycięstwo Khuena na Węgrzech. Ze stronnictw madiarskich najsympatyczniejsze są mowcy te, które jak najbardziej walczą o zupełną niezawisłość, ponieważ stanowią przeciwwagę dążności niemieckich. Całe szczęście dla Słowian, że ścierają się dwie siły, dążące do tego samego celu: idea pangermańska, marząca o opanowaniu krajów od Bałtyku do Adryatyku, z mackami wysuniętemi do Saloniki i do Azyi mniejszej — z madiarskim imperyalizmem, dobijającym się gorączkowo brzegów morskich. Ale ekspanzywność madiarska nie posiada istotnych sił (zwłaszcza ekonomicznych), podczas gdy zachłanność niemiecka może być naprawdę niebezpieczną.

Bądźcobądź polityka chorwacka nie byla w ciągu ostatnich 20 lat pozbawioną wszelkiego powodzenia; postęp jest, jakkolwiek niewystarczający.

Obzor w artykule „Uspjesi sveslavenske uzajamnosti“ (Nr. 156) żałuje mocno, że Polacy nie jadą do Sofii, ale nie przypuszcza, żeby zaostrzenie się stosunków polsko-rosyjskich miało być końcem neoslawizmu. Ciekawie tłumaczy różnicę pomiędzy tym prądem, a dawniejszym panslawizmem. „Panslawizm wysnuwał momenty kulturalne z politycznych i musiał dlatego zginąć, gdy zabrakło warunków dla tej polityki, której panslawizm miał być pomocnym. Ale neoslawizm, mając w sobie treść przedewszystkiem kulturalną, nie zginie i nie może zginąć. Nie usuną go z powierzchni ani niepowodzenia konferencyi polsko-rosyjskiej, przemoc Rosyan nad Polakami, ni Polaków nad Rusinami, bo te spory polityczne nie należą przed forum tych ludzi, którzy są reprezentantami neoslawizmu. Spory te mogą oddziaływać na wzajemność słabiej lub silniej, ale nie zdołają wykoleić idei wzajemności słowiańskiej“.

Frazesy, z których wynikałoby, że neoslawizm jest właściwie niczem i do niczego!

Hrvatski Dnevnik (organ arcybiskupa Stadlera) popełnił ten ciężki

i szpetny błąd, że zamachu na bośniackiego namiestnika użył za sposobność do nowej nagonki na Serbów, jakby chciał wznawiać w Bośni procesy zagrzebskie.

Straciło na tem wielce „udrugaszostwo“. Potępiono podszczuwania zapamiętałego redaktora w nowym sejmie bośniackim, a dać wyraz oburzeniu uważał sobie za obowiązek poseł Vančas, sam dotychczas „stadlerowiec“ — zaraz zaś potem ustąpili z *Dnevnika* wszyscy stali współpracownicy.

Riecki *Novi List* przypisuje obcym wpływom antagonizm Serbii i Czarnogóry, osłabiający jeszcze bardziej życie kulturalne całego narodu. Zdaniem tego pisma Serbia Obrenoviców nie mogła cieszyć się sympatyą, ale Serbia dzisiejsza, „nowa Serbia“, wykazuje na każdym kroku, że zrywa z przeszłością i na podstawie przykrych doświadczeń ucząc się czegoś nowego, chce zająć godnie przypadające sobie miejsce, jako państwo słowiańskie, konstytucyjne i liberalne — przez to zaś musi pozyskać sobie sympatye całego świata słowiańskiego.

Czarnogóra jest już poróżniona z **Serbią** nawet formalnie. Król Piotr nie pojedzie na jubileusz kniazia, pragnącego przybrać również tytuł królewski. Obydwa dwory były zresztą zawsze poważnione: zbliżyły się, a raczej zbliżono je sztucznie po ogłoszeniu anneksyi Bośni. Belgrad okazał się przy tem powolniejszym i uprzejmiejszym od Cetynia. Wydalono z Serbii emigrantów czarnogórskich, ale kniaź nie ogłosił amnestyi, jak to przyrzekał królowi serbskiemu, dwór cetyński opiekował się dalej osławionym Nastićem, *Cetinski Vjesnik* wypominał ciągle „bomby“ i prowokował Pašića; rząd zaś serbski odwołał Miloja Jovanovića, który miał się zająć reformą skarbu publicznego w Czarnogórze i był już do tego delegowany na prośbę kniazia. Zaczęła się polemika *Cet. Vjesnika* z półurzędową belgradzką *Samoupravą*, w której powiedziano o Pašiciu, że na jego miejscu „zarumieniłby się ze wstydu najgrubszy jucht rosyjski“. Z początkiem czerwca oświadczył dziennik cetyński, że „Czarnogóra nie uściśnie dłoni Pašića i pašiciewiciów, choćby ją i sto lat wyciągali ku Serbii“. Obecnie stosunki tak się pogorszyły, że serbski ajent dyplomatyczny Petković, bawiący od pewnego czasu na urlopie, nie powróci może całkiem do Cetynia.

Balkanska Tribuna zażądała kategorycznie, żeby na zjeździe sofijskim roztrząsano sprawę macedońską. Sprzeciwił się temu *Dnewni List*, w którego komitecie redakcyjnym zasiada też profesor belgradzkiego uniwersytetu i redaktor tygodnika *Slavenski Jug*, profesor Boža Marković: „Na kongresie słowiańskim w Sofii nietylko nie może być tym razem kwestyi macedońskiej w żadnej postaci, ale nie wolno jej dotknąć nawet w żadnej mowie. Wymagają tego interesy taktyczne pracy nad zbliżaniem się i jak najprędszem definitywnem porozumieniem Serbów i Bułgarów; wymaga tego charakter i program kongresu; jest to warunkiem, sine qua non, wszelkiej pomyślnej pracy nad zespołem powszechno słowiańskim“.

Zapewne, taką metodą polityki strusiej możnaby urządzać kongresy słowiańskie choćby co tydzień. *K.*

Prasa **bułgarska** jest stosunkowo młodszą nawet od swego państwa. Wszak roku 1890 mieli Bułgarzy ledwie 3 dzienniki i 2 czasopisma. Ale jak państwo samo czyni coraz większe postępy w rozwoju politycznym i ekonomicznym, tak i organy myśli bułgarskiej mnożą się i rozwijają liczebnie.

Statystyka z r. 1908 wymienia już 281 wydawnictw peryodycznych bułgarskich, w tem 180 gazet i 101 czasopism. Właściwych dzienników, tj. ukazujących się codziennie, było 19. Liczby te jednak wszystkie są względne, bo falowanie prasy bułgarskiej jest jeszcze bardzo wielkie. Miarą tego falowania jest właśnie rok 1908. Powstało owego lata 101 wydawnictw, a z nich 46 przed rokiem życia zamarło, a obok nich przestało wychodzić 52 dawniejszych. Bilans tedy z nowym rokiem 1909 przedstawiał się liczbą 182.

Ogniskiem wydawnictw jest naturalnie stolica, przewaga zaś jej jest tak wielka nad resztą kraju, jak nigdzie indziej. W Sofii bowiem wychodziło 73 dzienników z półtygodnikami i 74 czasopism peryodycznych („spisanija“ zwanych). W Sofii najpoczytniejszą i zagranicą najlepiej z imienia znaną jest *Večerna Pošča*. Istnieją 2 dzienniki tego imienia. Jedna „Poczta Wieczorna“ jest „gońcem narodowym, organem polityki narodowej i interesów narodowych“, a jej wydawcą jest St. S. Szangov. Druga o objętości półtora arkusza, przynosi wiadomości „z całego świata“, a redaktorem jej jest S. Naumov. Toteż obywatel sofijski pyta się zwykle kolportera, czy sprzedaje „Wieczorną Pocztę“ Szangova czy Naumova.

Licznymi dodatkami opatrzona jest *Nova Balkanska Tribuna*, głosząca po bułgarsku i francusku, że jest „organ na naroda“ i „grand journal quotidien“, a ma jeszcze francuskie nazwanie: *La tribune de Balkans*. Wyrazem myśli wszechbułgarskiej, wołającej o wyzwolenie Macedonii z pod zwierzchnictwa „chorego człowieka“, jest *Dnevnik*, wydawany przez A. Damjanowa. Pomaga mu w apostołowaniu ideałów *Den*. Organem stronnictwa ludowego, które głosząc, że „wszelka władza pochodzi od ludu“, tak często opozycyę prowadzi w sejmie, jest dziennik *Mir*. Na łamach swoich walczy *Mir* przedewszystkiem z *Prieporcem*, który jest pismem stronnictwa demokratycznego, dzierżącego dzisiaj rządy w swych rękach, a temsamem jest pismem niejako rządowem. „Niezawisłym gońcem“ jest *Riecz*. I socyaliści bułgarscy posiadają swój organ *Kambana*, „journal quotidien de Sophia“, milczący jednak w nagłówku o tem, że jest trybuną socyalno-demokratyczną.

Prasie europejskiej najpowszechniej jest znany półtygodnik *Le Courrier de Sophie*, wydawany głównie dla zagranicy i dlatego w języku francuskim redagowany. *mg.*

KRONIKA.

Jakób Arbes obchodził 12 czerwca 70-tą rocznicę urodzin. Ur. 1840 na przedmieściu praskiem Smichowie, syn szewca, uczęszczał do szkół realnych i na politechnikę i został... literatem. Wstąpił do redakcyi *Hlasu*. Z końcem r. 1867 przeprowadził się do Kutnej Hory, gdzie redagował *Vesnę*. W r. 1868 powrócił do Pragi i pozostawał aż do r. 1877 w redakcyi *Nar. Listów*. Przechodził tam najcięższe czasy, zwłaszcza, że w latach 1868—1873 był redaktorem odpowiedzialnym; miał śledztw, dochodzeń i procesów sporo, a w więzieniu przebył rok, dwa miesiące i trzy tygodnie. W latach 1878—1879 należał do redakcyi *Politik*. Obok tego był dramaturgiem czeskiego teatru przez trzy lata 1876—1879.

Pisał dużo, odznaczył się w noweli. Zbiorowe wydanie dzieł wychodzi obecnie w Pradze nakładem księgarni Topiča.

(tk) **Gobeliny morawskie**. Czeski Wydział krajowej Rady przemysłowej szykuje na rok bieżący wielką wystawę gobelinów i kobierców, których wyrób dzięki zabiegom powołanych do tego czynników — stał się już gałęzią przemysłu ludowego.

Akcya w tym kierunku powstała z inicyatywy malarza Rudolfa Schlattauera, który w roku 1898 założył w Zášovie na Morawach warstat, w którym pod jego kierownictwem pracował i uczył się lud miejscowy. Początki były bardzo trudne, z braku zwłaszcza środków; zalety jednak artystyczne wyrobów Schlattauerowych zwróciły powszechną uwagę na wystawie berneńskiej w 1904 roku. W 1907 roku zajął się tą sprawą sejm, uchwalił poparcie, postanowił zorganizować szkoły gobelinowe na wzór kursów koronkarskich czy koszykarskich. W styczniu 1909 roku przedsiębiorstwo Schlattauera zostało przyjęte przez sejm i przemienione na krajową „jubileuszową" szkołę kobierców i gobelinów, pozostającą pod kierunkiem tegoż malarza Schlattauera. Obecnie istnieją już dwie szkoły w Meziřiči i Bernie.

Przy odpowiedniej pieczy rządowych organów, przy poparciu przemysłu tego kredytem, przy dobrej organizacyi nauczania pod względem technicznym i artystycznym, jak również przy umiejętnem zorganizowaniu zbytu wyrobów — przemysł ten ma wszelkie nadzieje i dane do szybkiego rozwoju.

Popyt na gobeliny i kobierce wzrasta z dnia na dzień, co da możność pracować nietylko na zamówienia, ale wprost na skład, zwłaszcza, że przystępna cena daje wszelkie gwarancye znalezienia licznych nabywców. Ewentualna wystawa w tym roku dużo się przyczyni do poparcia tego przemysłu.

(*mg*) **Skargi Czechów rosyjskich.** Po ostatniem powstaniu polskiem rozdawał rząd rosyjski za bezcen posiadłości polskie na Wołyniu osadnikom czeskim. Kiedy jednak rozleniwiony i rozpijaczony chłop wołyński widział, że pracowity i trzeźwy Czech się bogaci, poczęto nań spoglądać z zawiścią, a nienawiść chłopa udzieliła się wnet i czynownictwu.

W r. 1873 przyjęli Czesi w Dubnie wołyńskim poddaństwo rosyjskie i wobec gubernatora przyznano im wolność wyznania z warunkiem jeno, aby się nie stykali z Polakami w życiu towarzyskiem. Swoboda wyznaniowa jednak nie dała spać popom i z zamętu wyznaniowego stronnictw „husyckiego" z proboszczem Hrdliczką na czele i „starokatolickiego" pod wodzą plebana Saski wyłowili popi sporą ilość prawosławnych Czechów. Ale bardziej się dała Czechom we znaki ustawa „okresowości", która głosi, że który osadnik przyjął poddaństwo rosyjskie do r. 1895, ma prawo nabywania posiadłości ziemskiej, kto je przyjął poźniej, z przywileju tego korzystać nie może. Ustawa do roku obecnego spała spokojnie w aktach, gubernatorowie pozwalali na kupno ziemskie, notaryuszowie je również kontraktowali. Aż dopiero roku 1910 nagle rozkazano się wynosić z okręgu dubieńskiego wszystkim Czechom, co poddaństwo przyjęli po roku 1895. Obywatelowi Zdenkowi nie pozwolono nawet zasiewów zbierać, bez chleba i dobytku musiał w terminie ozna-

czonym opuścić okolicę Dubna; inny osadnik czeski, F i a l a, wywędrował aż 200 kilometrów poza kopce powiatu dubieńskiego. Chciała jeszcze parę dni pozostać w starej siedzibie żona jego, złożona niemocą ciężką, ale „pristav“ i na to nie pozwolił, kazał ją naprzód przywieźć do swej kancelaryi, a stąd wywieźć dalej za mężem. Czynownik wywiadywał się pilnie, gdzie F i a l a się osiedlił na nowo i zawołał: „Sukinsyn, z jednej dziuryśmy go wygnali, a on już wlazł do drugiej, trzeba będzie napisać do „pristava“, aby go ztamtąd wykurzył“.

„Tak się postępuje w bratniej Rosyi z ludem czeskim w dobie, kiedy rozbrzmiewa hasło wszechsłowiańskiego zjednoczenia i zbratania“ — dodaje od siebie *Hlas Naroda* (Nr. 159), opowiedziawszy „S t e s k y r u s k ý c h Č e c h ů“, których w żadnym innym dzienniku czeskim nie spotkaliśmy w powtórzeniu, ani wzmiance.

(*mg*) **Czesi w Chorwacyi i Slawonii** zaczęli się osiedlać od r. 1826, a najsilniej zaludniali Banat w dwóch ostatnich dziesiątkach lat XIX. w. Wedle spisu urzędowego jest ich tam obecnie 42.000, najliczniejsi są w żupanii pożeskiej (12.000) i križewackiej (10.000). Miasto Daruvar (2500 Czechów) ma nawet zarząd gminny czeski. Szkół czeskich nie posiadają, pisma czeskiego uczy jeno ojciec i matka, uczęszczają pilnie do szkół chorwackich i analfabetów między nimi niema wcale, jak piszą *Plzeňské Listy* (Nr. 135).

(*mg*) **Czesko - słowieński Klub w Lublanie** zorganizował się dnia 18 czerwca b. r. Członkiem może być Czech lub Słowieniec. Celem jego jest szerzyć wzajemność i poznanie się bliższe Czechów i Słowieńców. Myśl postanowiono zrealizować po wykładach słowieńskich w Pilźnie czeskiem.

(tk) **Stosunki goryckie.** Świadomość narodowa wśród słowieńskiego ludu w Gorycy budzić się poczęła w siódmym dziesiątku minionego stulecia.

Brak inteligencyi miejscowej i szkół słowieńskich stoi na przeszkodzie szybszego rozwoju. Przewaga stanowcza dawniej Włochów, obecnie Niemców, jest drugim czynnikiem hamującym. Wpływy włoskie należą obecnie do przeszłości — kilka miesięcy można przebywać w Gorycy, nie potrzebując użyć ani jednego słowa włoskiego. Obecność natomiast panującego żywiołu niemieckiego daje się odczuć bardzo boleśnie. Gimnazyum goryckie na 585 uczni miało w 1909 r. 35 Niemców, realne 70 — z tego miejscowych 17; dla tej nielicznej garstki utrzymuje się niemieckie zakłady, podczas gdy Słowieńcy pozostają bez własnych szkół.

Są tu aż 4 partye polityczne — klerykalna, postępowa, socyalistyczna i agrarna. Zwalczają się namiętnie w ubieganiu się o mandaty, zaniedbując zupełnie pracę nad społeczeństwem. Na czele np. dziwnej, jedynej chyba w swym rodzaju partyi agrarnej stoi były stróż nocny i policyant, człowiek bez żadnego wykształcenia, o łatwej tylko wymowie, społecznie radykalizujący.

W Gorycy wychodzi trzynaście słowieńskich czasopism; poza Lublaną niema miasta, gdzieby bito tyle książek słowieńskich, jak tutaj; cóż, kiedy najmniej rozchodzą się one w Gorycy!

Z kulturalnych stowarzyszeń najmocniejszem jest „N a r o d n a p r o s v e t a“, pod umiejętnem kierownictwem dr. P o d g o r n i k a, który równocześnie jest prezesem stowarzyszenia śpiewaczego i muzycznego. Postępowcy grupują się w „Z v e z i n a r o d n i h d r u š t e v“. Akademicki związek „A d r i j a“ nie daje znaku życia wobec zabagnionych stosunków, panujących wśród młodzieży goryckiej.

Na ogół sytuacya jest nieszczególną. Goryca przedstawia teren przyszłości dla wpływów kulturalnych z Lublany — objęcie tej ziemi zaokrągliłoby terytoryum narodowe słowieńskie.

(*mg*) **Zjazd młodzieży południowo-słowiańskiej** odbędzie się w tym roku w Belgradzie z początkiem października. Cztery dni obrad wypełnią referaty w języku słowieńskim, serbochorwackim i bułgarskim o stanie narodowym, gospodarczym i oświatowym Jugosłowian, o zadaniach młodzieży w pracy dla myśli jugosłowiańskiej, wreszcie o zgodzie Serbów i Chorwatów.

(*w*) **„Julijanske“ szkoły w Chorwacyi.** Walka z madiaryzacyą nie

ustaje. Stowarzyszenie madiaryzacyjne, zwane krótko „Julian", chciałoby ugodzić w najważniejszą stronę życia narodowego Chorwacyi — w szkolnictwo. Broń jednak przeciwko nowym tym atakom można znaleść w samychże ustawach prawnych o szkołach, które sprzeciwiają się podobnym zakusom:

1. Od nauczycieli szkół prywatnych (a więc i „julijanskich") wymagane są kwalifikacye ściśle takie same, jak do szkół krajowych.

2. Niemający świadectw o możności nauczania w języku chorwackim, muszą się poddać odpowiednim egzaminom.

3. Językiem wykładowym w szkołach prywatnych jest język używany przez szkoły krajowe danej prowincyi.

Ten ostatni punkt powinien chyba stanowić dostateczną gwarancyę, żeby stawić skuteczny opór zakładaniu madiarskich szkół. Tymczasem władze krajowe mało myślą o tem, że walczyć tu trzeba natychmiast, że zaniedbanie i pozostawienie kwestyi odłogiem utrudnia, a może uniemożliwia nawet walkę. Szkoły madiarskie szerzą swą akcyę, powstaje ich coraz więcej. Tymczasem dość się powołać na wyżej zacytowane ustawy, aby zwalić ich organizacyę i bronić się przed madiaryzacyą. Wszak Rada szkolna krajowa w Chorwacyi posiada wszelkie prawa i kompetencyę kierownictwa oświatą, od niej należy spodziewać się i wymagać energicznej akcyi. Począwszy od sił pedagogicznych, a skończywszy na podręcznikach, władza szkolna powinna wszędzie wejrzeć i nie dopuszczać zgubnych dla narodu prądów; nie dopuszczać, aby chorwackim dzieciom mówiono, że są Madiarami. Chorwacya stanowi może jedyny kraj, gdzie podobne prywatne stowarzyszenie takie piętno wyciska na oświacie i prawie, że nią kieruje. Rok 1906—7 wykazuje 55%, a 1907—8 aż 61% szkół madiarskich!! Niebezpieczeństwo aż nazbyt widoczne.

(*w*) **Istarska Družba.** Niedawno jeszcze na kresach chorwackich w Istryi trudno było usłyszeć słowiańską gwarę. Sąsiedztwo Włoch i bezpośrednia styczność wyrugowały język rodzimy, tem szybciej, że sprawę oświaty ludowej traktowano tam po macoszemu. Toteż Chorwacya gorąco wita powstałą „Družbę", która po krótkim czasie istnienia potrafiła wydać już znaczne i pozytywne plony działalności oświatowej. Obecnie kieruje „Družba" 24 szkołami ludowemi i kilkoma seminaryami nauczycielskimi, i prowadzi energiczną walkę z analfabetyzmem. Praca ta wymaga więcej zabiegów, niż gdziekolwiekbądź indziej, napotykając na wyjątkowe trudności; dość spojrzeć, by to zrozumieć, na zróżniczkowanie ludności Istryi narodowościowe, na ustawicznie napływające i odpływające żywioły. Istrya — to przystań dla licznych wędrujących mas z południa na północ i ze wschodu na zachód. Chorwaci zdają sobie sprawę z tych trudności, nawołują więc społeczeństwo do ofiarności na cele działalności „Družby".

(*w*) **Jubileusz teatru chorwackiego.** Dnia 10 czerwca 1840 r. wystawiono w teatrze w Zagrzebiu dramat historyczny Kukuljevića „Juran i Sofija". Fakt ten z wielu względów posiadał doniosłe znaczenie. Żywy głos narodu po długiem uśpieniu przemówił ze sceny, która zawsze i wszędzie odgrywa tak wielką rolę, odzwierciedlając dorobek kultury i najistotniejsze drgnienia i wzloty człowieka. W Chorwacyi do r. 1840, a prawie że do końca XVIII wieku, ta strona rozwojowa, jak zresztą i cały kraj, stopiła się w obcej, niemieckiej, napływowej atmosferze. Naród zapomniał o potrzebie teatru, a jeśli nie zapomniał, to przynajmniej przekonał niemieckich przedsiębiorców, że nie mogą liczyć na powodzenie. Widzimy przed rokiem 40-ym, jak niemieckie trupy, chcąc zachęcić publiczność, wystawiają sztuki o miejscowym kolorycie, wplatają imiona i pieśni chorwackie, aż wreszcie nawet kierownik jednej z trup, Bernstein, zwraca się do stowarzyszenia „Čitaonicy" z projektem zorganizowania teatru narodowego (*Danica* z r. 1839, w art. „O utemeljenju ilirskog narodnog kazališta"). Inicyatywę dał tu Demeter, twórca teatru chorwackiego, Bernstein zaś wystąpił jako fachowiec; pierwszemu więc naród zawdzięcza dzieło. Wystawienie „Jurana i Sofiji" zbudziło uśpio-

ną muzę narodową. Teatr wykupiono z rąk niemieckiej trupy i rozpoczęto pracę nad stworzeniem stałej sceny. Odtąd przez długi czas dzieje chorwackiego teatru łączą się ściśle z osobą Demetera, który już uprzednio w swoich „Dramatičkih pokušenja“ (1838 r.) wykazywał znaczenie teatru dla oświaty i kultury narodowej. O Demeterze wspomina i Gaj, z którym był razem w Gradcu i gdzie już w r. 1827 kiełkuje u przyszłego działacza na polu sceny narodowej myśl założenia teatru, do czego też wkrótce w Zagrzebiu nawołuje członków „Čitaonicy“.

Dziś po 70-ciu latach nie trudno widzieć i stwierdzić doniosłość i prawdę słów Demetera. Teatr chorwacki przeżywał z narodem ciężkie chwile, ostał się jednak burzom i nadal „przemawia do serc“. Živio!

(*tk*) **Z dawnego życia Bosniaków.** Bośna i Hercegowina za czasów tureckich były krainą przeważnie pasterską. Wedle spisu tureckiego z roku 1873 Bośna bez Hercegowiny miała 500.000 sztuk bydła rogatego, 165.000 owiec, 568.752 kóz i 195.763 nierogacizny — liczby z pewnością niższe od rzeczywistych — gdyż wedle ilości trzody i bydła płacono podatki. Dla rozwoju pasterstwa istniały wszelkie warunki, pastwiska były liczne, a nieobciążone podatkami. Od sztuki dobytku płacono grosz daniny, bez względu na to, czy właściciel był hodowcą wyłącznie, czy też rolnikiem. Hodowla dostarczała ludności strawę, odzież, i obuwie.

Rolnictwo nie miało danych do rozwoju; przedewszystkiem wysokie daniny rujnowały włościan; chcąc zapłacić dziesięcinę państwu, a trzecią część oddać adze, przy małej urodzajności gruntu trzeba było cierpieć nędzę i głód; brak środków komunikacyjnych uniemożliwiał zbyt zboża. W lepszych w tym względzie warunkach znajdowali się mahometanie; niepłacili nic agom, posiadali najlepsze grunta. I oni jednak siali zboża bardzo mało, gdyż nie można go było spieniężyć. Wydzierżawiali zazwyczaj grunt kmieciom za $^1/_3$ część dochodu in natura, zajmując się głównie hodowlą (nie w obecnem naturalnie znaczeniu tego terminu).

Ogrodownictwo pod opieką niewiast polegało na sianiu grochu, marchwi, papryki, sadzeniu kartofli i cebuli; tytoń, bardzo tani, w produkcyi znaczniejszej nie opłacał się; sadownictwa niemal nie było, gdyż owoc trudno było ochronić przed zniszczeniem od żołdactwa tureckiego, wobec którego sprawiedliwości znaleść było niepodobna.

Domostw pięknych nie stawiano; ograniczano się na trzcinowych chatkach oblepionych ziemią i przykrytych jodłowemi lub bukowemi gałęziami. Odzież z materyi własnego wyrobu lub skór była powszechną; kupowali ubranie tylko zamożniejsi, oszczędzając je i przywdziewając podczas uroczystości.

Mahometanie nosili się dostatniej i żyli lepiej. Używali zwłaszcza dużo kawy, jako, produktu nieopodatkowanego. Przed okupacyą rzadkością jednak był młynek do kawy.

W tych warunkach życie ludności bośniackiej stanowiło jeszcze przed niedawnym czasem wyjątek na obecnem tle stosunków ekonomicznych. Naturalna gospodarka, brak cyrkulacyi pieniężnej, rozkwit „zadrugi“ — były cechami życia tamecznego. Oddzielnie i samodzielnie człowiek nie mógł się utrzymać.

Druk ukończono 28 czerwca 1910 roku.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Kraków. — Druk W. Korneckiego i K. Wojnara.
Pod zarządem Adolfa Nowaka.

„PRĄD"

Miesięcznik społeczny i literacko-naukowy

POD REDAKCYĄ

Ad. L. Szymańskiego.

Zeszyt 4 zawiera:

Marya Szpyrkówna: „Oni i one". — *Inż. Witold Jarkowski*: „Żeglarstwo powietrzne" — (Myśli i fakty). — *Prof. A. D. Sertillangeş*: „Idea Boga a powszechne przekonanie ludzkości". — *Korespondencye:* Z Krakowa. — *Sprawozdania i krytyki:* M. Gugau „Moralność bez powinności i sankcyi". — *E. Wasmann:* T. J. „Trzy odczyty o ewolucyi". — *Notatki bibliograficzne.* — *Przegląd czasopism:* Anonimowi opiekunowie. — Czy wyrodniejemy? — Edukacya Maćka. — *Z miesiąca:* Sensacye. — Wybory poznańskie. — Międzynarodowe czy międzypaństwowe. — *Wolna Trybuna.* — *Informacye.* — *Krystyna Saryusz Zaleska:* „Tęsknota. — *Kronika:* Od Redakcyi. — Narady w sprawie wyższych szkół handlowych. — Komitet „Pomocy dla młodzieży". — Kongres chrześcijański. — Okólniki ministeryum oświaty. — Strajk w petersburskim instytucie elektrotechnicznym. — Konkurs na rozprawkę. — W sprawie pracowni psychologicznej. — Puriszkiewicz działa! — Wynik konkursu „Przeglądu filozoficznego". — Konkurs T-wa Naukowego. — Władze szkolne. — *Notatki statystyczne:* Studenci na uniwersytecie warszawskim. — Polski ruch wydawniczy. — Ruch podróżnych. — Ofiarność na krzewienie wiary. — Zmiana wyznania. — *Odpowiedzi Redakcyi.*

DZIAŁ MŁODZIEŻY: Z.—Z.: „Jeszcze o Woli". — Alfons Dzięciołowski: „Hej, Wiosna do nas nadchodzi". — J. Knollówna: „Cudo kwiat". — Tadeusz Przychodzki: „Melodye fal". — „Wieczoru mgły". — Jerzy Kamieński: „Wychodźcy polscy w Europie". Stanisław Marek: Z cyklu. — „W bezsenne noce". — Stanisław Kociemski: „W borze". — *Sprawy młodzieży:* Gimnazya żeńskie. — Ćwiczenia w oddychaniu. — Biblioteki szkolne. — Liczba uczniów szkół średnich. — Z powodu samobójstw wśród uczniów. — Przekształcenie progimnazyów. — Młodzież angielska. Informacye o szkolnictwie polskiem. — Szkoły handlowe a żydzi. Aresztowania. — Tow. Opieki Szkolnej w Kielcach. — O stopień z religii. — Nowe szkoły.

WARUNKI PRENUMERATY:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie	Rb.	4
W Austryi rocznie	koron	10
We Francyi „	franków	11
W Niemczech „	marek	9

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa ul. Warecka Nr. 10 m. 11.**